

Rok XXXIII

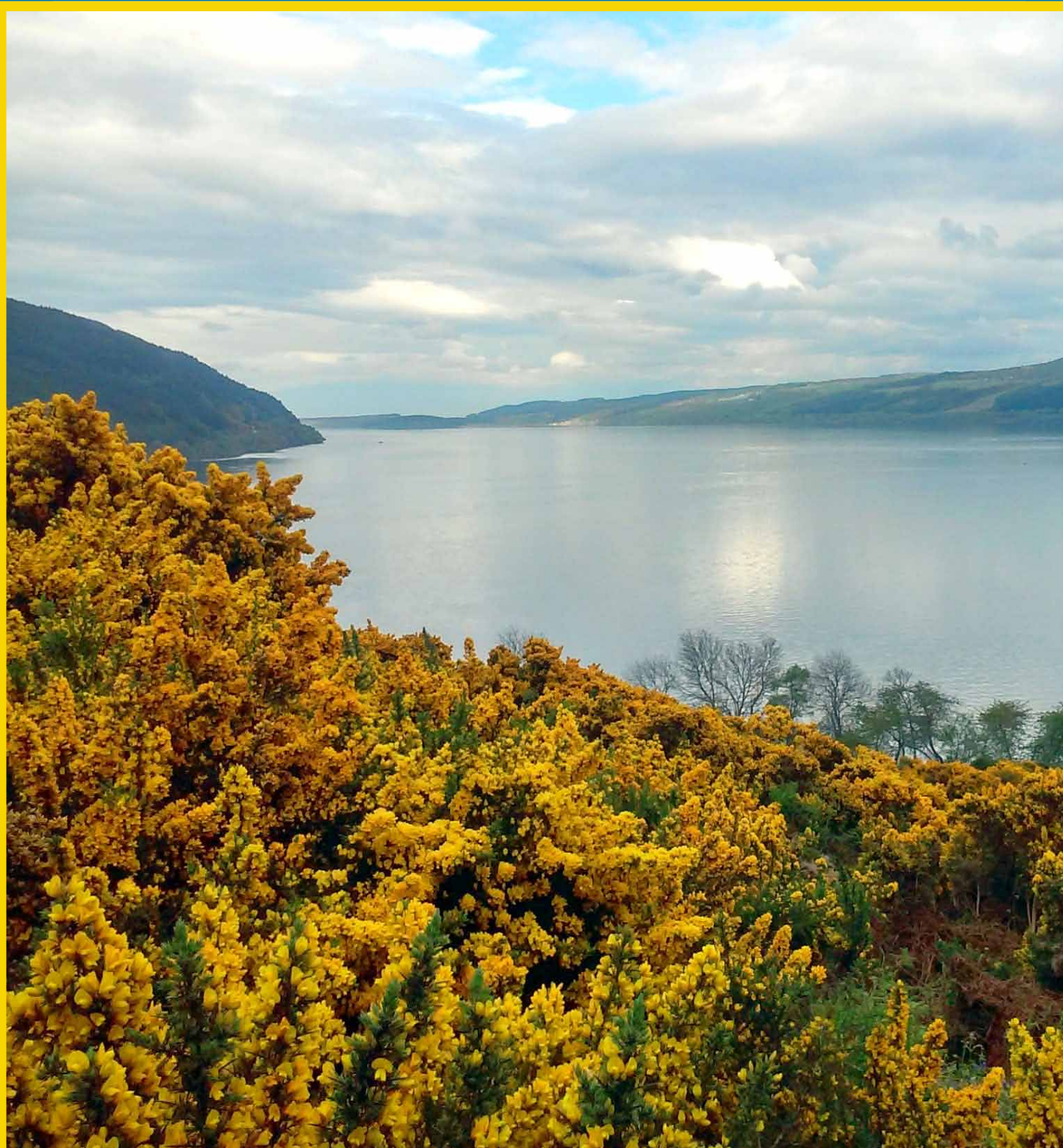
Nr e-149 (345)

Marzec 2019

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



Z NASZEGO REGIONU

Można zobaczyć kraniec Sudetów	<i>Bartosz Skowroński</i>	3
Jubileusz chatki AKT w Karkonoszach	<i>Tomasz Kowalik</i>	4
Cytat Miesiąca	<i>Juliusz Wysłouch</i>	6
Wśród pogórzańskich wzniesień	<i>Krzysztof Gdula</i>	7

OJCZYSTY SZLAKI

Ikona Madonny w Suchoj Beskidzkiej jest starsza, niż sądzono ...	<i>Ryszard M. Remiszewski</i>	10
Skarb, cukrownia, kolejka...		
– słów kilka o miejscowości Zbiersk	<i>Marta Gołembiewska</i>	11
Wszystkie mądre polskie kozy.....	<i>Tomasz Kowalik</i>	15
Trasa Wschód – Zachód i odwrotnie	<i>Tomasz Kowalik</i>	17
Jubileusz Muzeum Pienińskiego	<i>Tomasz Kowalik</i>	19
Regulamin Odznaki „KORONA KACZAWSKA”		23

WYGODNIE I BEZPIECZNIE

<i>Homo electronicus</i> w górach	<i>Juliusz Wysłouch</i>	24
---	-------------------------------	----

GLOBTROTER

Cienie światła w Den Helder	<i>Ryszard M. Remiszewski</i>	27
Uszguli: adres na końcu drogi	<i>Mirosław J. Barański</i>	28

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Karwaty Cztery zapraszają do Skierniewic	<i>Sławomir Chojnacki</i>	32
Zemowe Wandre 2019	<i>Juliusz Wysłouch</i>	35
Otwarcie nowych wystaw czasowych w Jagniątkowie	<i>Krzysztof Tęcza</i>	37
Wspomnienia Sybiraczki	<i>Zbigniew Norbert Piepiora</i>	38
Wystawa fotografii Piotra Krzaczkowskiego	<i>Krzysztof Tęcza</i>	40

SYLWETKI „NA SZLAKU”

Wiktor Godlewski	<i>Janusz Fuksa</i>	41
------------------------	---------------------------	----

RECENZJE I NOWOŚCI

Fotografia mówi tylko prawdę	<i>Tomasz Kowalik</i>	43
------------------------------------	-----------------------------	----

Na okładce: Jezioro (Loch) Ness w Szkocji. Fot. Piotr Dacko

Można zobaczyć kraniec Sudetów

Pasażerowie samochodów czy też autobusów jadących pomiędzy miastami Boskovice i Velké Opatovice trasą wiodącą przez miejscowości takie, jak Knínice, Šebetov, Světlá i Cetkovice, mają okazję popatrzenia po drodze na rejon krańca Sudetów. Oczywiście nie przez całą jazdę, a już bliżej jej końca. Ale po kolei.

Odcinek szosy nr 374 z Boskovic do Cetkovic wiedzie przez część Brněnskiej vrchoviny noszącej nazwę Boskovická brázda. A w zasadzie może częściowo już na pograniczu tej ostatniej i Wyżyny Drahańskiej. Brněnská vrchovina to znów część podprowincji Masywu Czeskiego, określanej w Republice Czeskiej jako Česko-moravská soustava. Ta ostatnia sąsiaduje gdzieś tam, także w rejonie Velkých Opatovic, z Sudetami. Ściślej, w rejonie tego miasta graniczy ona z częścią Sudetów w postaci Orlickiej podsoustavy, czyli *de facto* z czeską częścią Sudetów Środkowych, a jeszcze ściślej – z Pogórzem Orlickim. Wszak czeskiej nazwie Podorlická pahorkatina (także zgodnie z „Urzędowym wykazem polskich nazw geograficznych świata”) odpowiada polska nazwa Pogórze Orlickie. No tak, padło tyle podziałów geograficznych. Ale co z tego mogą zobaczyć, w dodatku z trasy przejazdu, wspomniani na początku pasażerowie?

Te fragmenty Boskovickéj brázdy lub jej pogranicza z Wyżyną Drahańską, przez które prowadzi odcinek wspomnianej szosy, ograniczone są z dwóch stron pasami dość wyraźnych wzniesień. Dla zainteresowanych Sudetami droga ta ma o tyle korzystny przebieg, że wiedzie mniej więcej równolegle i blisko tego pasa wzniesień, który nie należy do nich. Tworzą go bowiem wyniosłości Wyżyny Drahańskiej. Jadąc z Boskovic do drugiego z wymienionych w tytule miast, trasą jak wyżej, ten niezwiązany z Sudetami pas wzniesień mamy po prawej stronie. Dzięki takiemu przebiegowi szosy można lepiej spoglądać w kierunku widocznego na horyzoncie po lewej innego pasa wzniesień. To w nim należy doszukiwać się w pewnym momencie krańca Sudetów.

Jak to doszukiwać? – zapytają może czytający te słowa. Otóż napisać to trzeba wprost. Dość trudno dostrzec, na pierwszy rzut oka, gdzie w tym – w sporej części zalesionym – pasie wzniesień kończy się Boskovická brázda, zaś zaczyna Pogórze Orlickie, a tym samym Sudety. Tym bardziej czyniąc obserwacje jako pasażerowie poruszającego się pojazdu. Nawet i w takiej sytuacji, w miarę dogodny do popatrzenia moment następuje np. po minięciu zabudowań wspomnianej miejscowości Světlá. Wtedy to można dostrzec po lewej, w oddali, zabudowania Vanovic. Rejon tych ostatnich poznać można po widocznym z daleka, charakterystycznym, dwuwieżowym kościele. Zarówno na lewo, jak i na prawo od rejonu zabudowań Vanovic teren pnie się dość znacznie do góry zalesionymi pasami wzniesień. Ten na prawo to już bodaj kraniec Pogórza Orlickiego, a tym samym Sudetów. „Bodaj”, no bo jak to z pograniczami bywa, można się zastanawiać, które dokładnie granicę Sudetów należałoby tam poprowadzić. Dodam, że panoramę tamtego krańca Sudetów można zobaczyć też z innych miejsc w rejonie Světlí. Wtedy oczywiście zabudowania w oddali będą widoczne nieco inaczej.

Trudniej chyba będzie jednak pasażerom regularnego autobusu komunikacji zbiorowej, jadącym do drugiego przystanku w Velkých Opatovicach (o którym niżej),



Pogranicze Sudetów i Česko-moravskiej soustavy z zabudowań Velkých Opatovic. W tle zalesiony pas wzniesień Wyżyny Drahańskiej

stwierdzić kiedy – i czy w ogóle – wjadą nim w Sudety, zdążając do tego miasta. Autobus opuści szosę nr 374 wjeżdżając na inną drogę. Ten, który rozkładowo ma przejechać także w pobliżu przystanku kolejowego Cetkovice, będzie zbliżał się coraz bardziej w stronę zabudowań Velkich Opatovic. W tle, przy odpowiedniej pogodzie, rzucić się będą w oczy po lewej, zalesione wzniesienia Pogórza Orlickiego. Później, też po lewej, widoczny będzie blisko szosy bezleśny, wyżej leżący teren. To fragment wzniesienia o nazwie Červenice (417 m n.p.m.). Czy ono już leży w Sudetach? Czy też, oddzielone niewielką przełęczą od zalesionego grzbietu, z którego wyrasta m.in. sudecki szczyt o nazwie Opatovické hradisko (514 m n.p.m.), należy jeszcze do Česko-moravskiej soustavy? Aby o tym rozstrzygnąć, może wziąć by trzeba jeszcze pod uwagę np. budowę geologiczną. Tak czy inaczej, można się zastanawiać.

Tymczasem pojazd dotrze do zabudowań Velkich Opatovic. A tam (o ile to autobus regularnej linii), po jednym z przystanków bliżej stacji kolejowej, osiągnie przystanek w centrum miasta. Jeżeli oczywiście ktoś akurat pojedzie taką trasą wspomnianym autobusem. No i po opuszczeniu pojazdu można się dalej zastanawiać, czy stojąc w rejonie zadaszanej, dość sporej wiaty przystankowej, jest się już w Sudetach, czy też jeszcze nie.

Z rejonu tego przystanku można za znakami czerwonego szlaku dojść jednak w miejsce, w którym istnieje bodaj szansa stwierdzenia, że jesteśmy już na krańcu Sudetów.

Pewne jest, że – z rejonu wspomnianego ostatnio przystanku – wyraźnie do góry wiedzie ulica Šraňky. Tak samo do góry prowadzi dalej ulica Luční. Szlak czerwony wiedzie, tak jak i te dość wąskie, asfaltowe i zabudowane po obu stronach ulice, wyraźnie do góry. Kawałek dalej i wyżej opuszcza on asfalt, prowadząc drogą utwardzoną nieco odłamkami skalnymi. Później wiedzie już gruntową drogą. Kończą się zabudowania. Droga zaś... prowadzi nieco w dół, a bardzo blisko widać już linię energetyczną poprowadzoną nad drogą, którą wiedzie szlak. Nieco tylko dalej za tą linią, ale jeszcze zanim droga zacznie prowadzić pod górę, jest chyba najlepsze miejsce dla tych, którzy chcieli zobaczyć pogranicze Sudetów i Česko-moravskiej soustavy z tego odcinka szlaku. I to nieco tylko za zabudowaniami Velkich Opatovic. Z tego właśnie miejsca można obserwować, jak od strony lasu teren łagodnie opada. Widać jednak, że niżej obszar jest też jeszcze nieco pofalowany. Trudno więc o jednoznaczną ocenę, którędy dokładnie przebiega granica obu wymienionych wyżej podprovincji Masywu Czeskiego. Pewne jest, że na horyzoncie widać zalesiony pas wzniesień Wyżyny Drahańskiej. To właśnie równolegle do nich prowadzi wspomniany wyżej fragment szosy nr 374. Ci, którzy korzystając z niej dojadą z Boskovic, a następnie dojdą do opisywanego niniejszym miejsca, będą mogli z krańca Sudetów popatrzeć na niesudeckie wzniesienia, u podnóżu których dane było im przejechać.

Z opisanego, pięknego też krajobrazowo miejsca turyści mogą wrócić w rejon wspomnianego przystanku autobusowego w Velkich Opatovicach. A jeżeli chcieliby np. pojechać dalej, znów do Boskovic i to w inny sposób, mogą na przykład udać się z rejonu tego przystanku do położonej poza centrum Velkich Opatovic stacji kolejowej i powrócić do Boskovic koleją. Wszak pasażerów pociągu czeka inna nieco trasa przejazdu, a więc i inne widoki. Dla zobaczenia samych krajobrazów warto przybyć w te atrakcyjne, nie tylko widokowo, strony.

Bartosz Skowroński

Minęło 113 i 60 lat studenckich schronisk

Jubileusz chatek AKT w Karkonoszach

W 1956 roku, po pięćdziesięciu latach od zawiązania Akademickiego Klubu Turystycznego we Lwowie (kwiecień 1906 r.), podczas wędrowki po Tatrach Słowackich, na Cmentarzu Symbolicznym przy tablicy ufundowanej w 1912 roku przez ten Klub ku pamięci Klimka Bachledy, grupa studentów wrocławskich krystalizuje pomysł odnowienia AKT we Wrocławiu. Projektują odnowienie Klubu w mieście silnie powiązanych z lwowskimi uczelniami i tradycjami, nie tylko naukowymi. Wtedy turystyka i sport były w przysłówowych powijkach, a ich uprawianie nie cieszyło się popularnością – uchodziły za dziwactwo niegodne dobrego towarzystwa.

W grudniu 2018 roku zmarł Janusz Czerwiński (1936–2018), który jesienią 1958 roku napisał list do Mieczysława Orłowicza, inicjatora lwowskiego AKT (na kilka miesięcy przed jego śmiercią). W imieniu grupy

wrocławskich studentów poprosił o zgodę na użycie tej samej nazwy i kontynuowanie nowoczesnych wtedy turystycznych tradycji lwowskich, ale w atmosferze tzw. odwilży politycznej nad Odrą. Tak doszło do powstania we Wrocławiu – najpierw tylko entuzjastycznie, bez nadmiaru formalności – „bliźniaka” lwowskiego klubu, pierwszego w Polsce, ale związanego wielkimi tradycjami z lwowskim – Akademickiego Klubu Turystycznego. Wspomniany list to dziś swego rodzaju relikwia – dokument (o znaczeniu nie tylko sentymentalnym) i zabytek pełniący rolę kamienia węgielnego odnowionych we Wrocławiu tradycji turystyki akademickiej.

Orłowicz uprzejmie odpisał, rad z projektu i powrotu do chlubnych tradycji, drugiej po Towarzystwie Tatrzańskim, polskiej organizacji turystycznej i krajoznawczej. Powstała wtedy w poczuciu niezgody na skostniałe i mało liczebne Towarzystwo, które po odzyskaniu niepodległości stało się Polskim Towarzystwem Tatrzańskim. Nestor wschodniokarpaccich, tatrzańskich i pienińskich szlaków zachęcał wrocławskich entuzjastów do działania, udzielając wskazówek praktycznych. W grupie inicjatorów wrocławskiego AKT byli studenci Politechniki, znani wtedy jako „Klub Trampów”, do którego należeli: Krzysztof Błaszowski, Ludwik Wąs, Andrzej Małecki, Bogusław Skrzęta i Krystyna Dobkowska oraz studenci Uniwersytetu z Koła Naukowego Geografów, w którym wyróżniali się: Janusz Czerwiński, Marian Pulina, Jan Marek, Ryszard Chanas i Eugeniusz Adamczak.

17 stycznia 1957 roku pojawiła się w „Tygodniku studentów i młodej inteligencji” notatka pt. „Akademicki Klub Turystyczny”, w której podano skład zarządu po pierwszym zebraniu organizacyjnym nowego Klubu. W artykule przypomniano chlubne tradycje *młodzieży akademickiej, która odgrywała od dziesiątków lat dominującą rolę w turystyce*. Wtedy oddziały PTTK nie potrafiły rozwijać turystyki studenckiej. Wśród inicjatorów AKT wymieniany był działacz wrocławskiej Rady Okręgowej ZSP Stefan Małkus. Planowano stworzyć krąg przewodników dla powszechnej turystyki studenckiej, krajowej i zagranicznej. Pierwszymi byli członkowie studenckiego Klubu Grotolazów.

Wspomniany list napisał Czerwiński jesienią 1958 roku, a w styczniu 1959 roku nadeszła odpowiedź: *Konstatuję – napisał Orłowicz – że trudność utrzymania akademickich klubów turystycznych polega na tym, że młodzież akademicka odnawia się co 4 czy 5 lat. Doświadczeni działacze kończą studia i usuwają się, a na ich miejsce przychodzą ludzie bez inicjatywy, bez zapału. Jedni nie umieją prowadzić pracy turystycznej, drudzy nie chcą jej prowadzić, a tego rodzaju instytucje stoją właściwie na jednostkach pełnych zapału, chętnie poświęcających swój czas, mających świadomość celu i znajomość środków wiodących do celu. Jeśli takich znajdziecie, to pojedziecie, jeśli nie znajdziecie, to upadniecie.*

Ten list, jak podają autorzy historycznego opracowania „XV lat Akademickiego Klubu Turystycznego we Wrocławiu” (wydanego też ku chwale 100-lecia turystyki polskiej), odczytał Janusz Czerwiński 30 stycznia 1959 roku podczas walnego zebrania założycielskiego = organizacyjnego, które nadało Orłowiczowi tytuł Członka Honorowego. Marian Pulina ogłosił program działania AKT. Pierwszy zarząd tworzyli: prezes Krzysztof Błaszowski, wiceprezes Marian Pulina, sekretarz Janusz Czerwiński, skarbnik Jan Klamut i członek zarządu Ryszard Chanas. Już 17 marca 1959 roku na Walnym Zebraniu Koła Przewodników podano informację, że **Nadleśnictwo Podgórzyn oddało w dzierżawę AKT dwa domki myśliwskie w Karkonoszach – Chatkę nad Wrzosówką i na Bażynowych Skalach, nazwaną od razu Chatką AKT.**

Takie były początki wrocławskiego AKT, który zapisał



Chatka AKT na Hutniczym Grzbiecie w Karkonoszach

się przysłowiowymi złotymi zgłoskami, dokonania i sukcesami w ciągu minionych lat bujnie rozwijającej się turystyki akademickiej. Wśród tych dokonań jedno z głównych miejsc na liście osiągnięć zajęła inicjatywa zdobycia własnych schronisk, znanych powszechnie jako chatki. Pomysł z Wrocławia rychło podjęły inne środowiska – warszawskie, gliwickie, krakowskie, lubelskie, łódzkie, poznańskie, rzeszowskie. Później, wobec coraz popularniejszej turystyki w formie wakacyjnych obozów, na licznych trasach, przede wszystkim we wszystkich grupach polskich gór, powstało kilkadziesiąt sezonowych baz namiotowych.

Dzięki kontaktom nawiązywanym od samego początku działania w AKT oraz z uwagi na doświadczenie i osiągnięcia w pracy naukowej, Janusz Czerwiński był wieloletnim członkiem Rady Naukowej Karkonoskiego Parku Narodowego. Wypada dodać, że od 1956 roku należał do najwybitniejszych „ojców założycieli” i odnowicieli studenckiej turystyki akademickiej. Urodził się 11 listopada 1936 roku we Lwowie, zmarł 30 listopada 2018 roku we Wrocławiu. Był wybitnym geografem, geomorfologiem, autorem literatury turystycznej, przede wszystkim przewodników po okolicach Wrocławia, Sudetach, Karkonoszach, Dolnym Śląsku, a także po rodzinnym Lwowie. Do jego najważniejszych publikacji zalicza się, między innymi, „Słownik geografii turystycznej Sudetów”. Jego przewodnik wprowadzający na Szczelniec Wielki (919 m n.p.m.) w Górach Stołowych należy do najbardziej znanych w sudeckiej literaturze turystycznej. Ukończył Wydział Geografii Uniwersytetu Wrocławskiego i przez wiele lat pełnił funkcję kierownika Zakładu Geomorfologii na UWr. Był również pracownikiem etatowym w Instytucie Turystyki Wyższej Szkoły Bankowej we Wrocławiu. Bez obawy o błąd w ocenie można stwierdzić, że Janusz Czerwiński był wybitnym znawcą, popularyzatorem wiedzy o Sudetach i Karkonoszach, które umiłował szczególnie.

Tomasz Kowalik

CYTAT MIESIĄCA

Bieszczadzki Turbacz

Prasa i media elektroniczne po swojemu kreują rzeczywistość. Pierwszego dnia Świąt Bożego Narodzenia gruchnęła wieść o zaginięciu i skutecznych poszukiwaniach turysty, który po pasterce w schronisku na Turbaczu zaginął w drodze powrotnej. Ratownicy GOPR znaleźli go w głębokim jarze kilkaset metrów od wierzchołka Turbacza. Wiadomość pojawiła się w internetowych portalach informacyjnych i na internetowych stronach gazet. Niby jedna z setek podobnych informacji, tylko że publiczność dowiedziała się, iż **turysta zaginął pod szczytem Turbacza w Bieszczadach Zachodnich**. Te nieszczęsne Bieszczady pokutowały w sieci przez dwa dni, zanim zniknęły pod wpływem setek komentarzy zdziwionych czytelników. Niektórzy moderatorzy zamienili je na Beskidy Zachodnie (*). Na szczęście GOPR z Grupy Podhalańskiej zdementowali tę wiadomość i z ulgą poinformowali, że **Turbacz nadal znajduje się w Gorcach**. Na swoim Facebooku zamieścili tzw. zrzut ekranowy ze strony jednego z wiodących portali. Obrazek jest fantastyczny: wiadomość o zaginięciu w **Bieszczadach pod Turbaczem** jest ilustrowana zdjęciem **Koziego Wierchu i Dolinki Buczynowej w Tatrach**. Więcej namieszać już się nie dało.

(*) Beskidy Zachodnie to dość szerokie pojęcie i też trzeba wiedzieć, co oznacza. Nie lepiej było napisać, że w Gorcach? **A gdyby napisać „w Karpatach”, to uniknięcie wpadki stuprocentowe...** I udało się. Mówisz – masz! 24 stycznia pojawiły się informacje o akcjach poszukiwawczych w rejonie Lubania w... Karpatach. Poniżej cytat: *GOPR jak co dzień ma ręce pełne roboty – w środę ratownicy udali się na poszukiwania trzech turystów, którzy wracając ze szczytu Lubania w Karpatach opadli z sił.*

A nie mówiłem?



Wśród pogórzańskich wzniesień

Są miejsca na szlakach moich wędrówek niewyróżniające się niczym, poza moją pamięcią o nich, miejsca smile wspomинane i oczekujące mojego powrotu. Nie z powodu oszałamiających widoków, a dla ponownego przeżycia wrażeń, które musiały być wyjątkowe, skoro są pamiętane nawet przez lata. Jednakże czasami bywa, że samo miejsce pamiętam, ale zapomniałem, gdzie ono jest. Dlatego, gdy dowiedziałem się ze starszych tekstów o lokalizacji buków kiedyś podziwianych, gdy okazało się, że nieodległe jest inne takie miejsce, miałem z grubsza zarysowany plan wędrówki.

Wyszedłem z Wojcieszowa, więc z serca Gór Kaczawskich, ale większość trasy szedłem niskim pogórzem o lekko pofalowanych polach, z których tu i ówdzie pączkują łagodne wzniesienia. Trudno nazwać je górami, ale na szczęście nie wiąże urody miejsc z ich wysokością.

Gdy ruszyłem w drogę, było ciemno, dopiero w czasie podchodzenia na pierwszy szczyt, dość wyraźnie zarysowaną Zadorę, zaczęło się rozjaśniać. Właściwie szarzeć, ponieważ niebo przykrywały zwały białych chmur, a powietrzu brakowało przejrzystości – jakbym w grudniowy dzień się zanurzał. Uprzedzając fakty zaznaczę, że wracałem jednak w czas słonecznej złotej jesieni.

Siedziałem na szczycie patrząc na wznoszące się *vis-à-vis* największe masywy tych

gór. Te rozpoznawałem, wiele średniaków też, ale z mniej widocznym drobiazgiem nie szło mi dobrze. Rzadko bywając w tych stronach, zobaczyłem góry odmienione. Wyższy szczyt widziałem jako niższy i na odwrót, wiele innych dobrało sobie za sąsiadów góry zwykle stojące dalej, a jedna czy dwie jakby powędrowały w inne miejsca, w co trudno byłoby uwierzyć, gdyby nie świadectwo wzroku. To ich bałaganiarstwo, to szwendanie się po Kaczawach, musiałem dłuższy czas porządkować, żeby nadać właściwe im nazwy.

Jedna część rozległych łąk za Zadorą jest zbyt równa, niemal monotonna, ale zachodnie połacie są dokładnie takie, jakie najbardziej mi się podobają. Mając w pamięci ranną wędrówkę tamtymi łąkami, widok przenikających się i coraz dalszych stoków wzniesień, drzewami obsiadłe granice i strumienie, samotny dąb stojący

wyżej, na tle nieba, zwężającą się nitkę drogi meandrującej wśród zboczy, uświadomiłem sobie podobieństwo wszystkich miejsc uznawanych przeze mnie za najładniejsze. Jakby w jakiejś jednej jego cesze albo w ich zestawieniu, krył się mój własny wzór piękna ukształtowany w dzieciństwie, a może już tutaj, w czasie sudeckich wędrówek.

Z czarem pamiętanych miejsc jest podobnie jak z kobietą: oczarowany chcę powrotu tamtej chwili, wracam



Okole od strony Zadory



Masyw Okola od strony Zadory

więc i nawet jeśli nie znajduję, szukam dalej, a szukając czarowany bywam inaczej, odmienną chwilą lub cechą, którą jakbym dopiero teraz zauważył. Zawsze więc wracam niezrażony, z nową nadzieją, dodając nowe do pamięci starych chwil.

Buki znalazłem i chociaż spodziewanie odebrało im część uroku, postaram się tam wrócić, ponieważ za ogrodzeniem pobliskiej szkółki widziałem kilka wielkich drzew, którym dzisiaj nie przyjrzałem się z bliska.

Gdy usiadłem pod drzewem, poczułem jakże lubiany zapach wilgotnej leśnej ziemi i gorzko-orzechowy silny zapach jesiennych liści. Wyciągnąłem termos z plecaka i gorącym napojem napełniłem kubek. Dobrze mi się siedziało na tym ustroniu, gdzie prędzej sarnę można spotkać niż człowieka.

Po wyjściu z lasu droga prowadzi pod czereśniami – widok o tej porze warty palety mistrza – stopniowo odsłaniając rozległy pejzaż okolic wsi Dobków. Na szczycie wzniesienia droga ucieka spod nóg pędząc do wsi, a tak jest urocza, że zatrzymywałem się często – tak było i wtedy, gdy widziałem ją po raz pierwszy – nie chcąc przejść jej zbyt szybko. Może właśnie obraz takiej drogi jest jądrem mojego prawzoru piękna krajobrazu? To bardzo możliwe, ponieważ gdy nie mogę jechać na łąkę, nie szczyty, nawet nie dal wspominać, a drogę. Jedną drogę w tysiącnych powtórzeniach.

Z drogi zobaczyłem liczne chabry, a gdy wszedłem na pole, zakręciłem się, zdumiony widokiem. Na przestrzeni paruset metrów kwitły chabry i rumianek. Całe połacie pola były dosłownie niebieskie. Chodziłem po nim rozglądając się, fotografując i klęcząc przy kwiatach. Podnosiłem się z zamiarem pójścia dalej i klękałem w innym miejscu. Nigdy nie widziałem takiej ilości tych kwiatów, nie pamiętam też chabrów albinosów, a tutaj sporo było białych.

Pamiętaną drogę na wzgórze Piaseczna minąłem, ale dalej szedłem prosto: dokąd ta droga prowadzi? Zakolem aż pod las, jednak i ona zaprowadziła pod wzgórze. Wróciłem na nie po raz trzeci, mimo iż jest zaorany, niewielkim wzgórzkiem w połowie rozkopanym kopalnią piasku. Gdy jednak siedzę do niej tyłem, widzę tylko to, co przyciąga mnie tutaj.

Za rozległymi łąkami jest las, a za nim Muchówek, mała wioska przytulona do ściany leśnego masywu. Na jej skraju, wśród chaszczy i drzew, sterczą ruiny opuszczonych domów. Tylko owocowe drzewa jeszcze walczą, jeszcze się im wydaje, że ich owoce są zbierane. Przerażliwie smutny jest widok tych jabłoni i gruszek wykreconych wiekiem, owocowaniem i zaniedbaniem.



Dobków widziany z Kapeli



Buki pod Dobkowem

W pobliżu zaczyna się mały strumyk Rogozino; mając swoją nazwę i moją pamięć o nim, podwójnie jest wyróżniony. Parę lat temu, idąc wzdłuż niego, zobaczyłem spory dąb rosnący nad samym brzegiem. Pod drzewem jest nieco równej i suchej ziemi, domów wsi już nie widać, odludne miejsce, idealne na postawienie namiotu. To jest właśnie drugie miejsce, które pamiętałem i chciałem dzisiaj

odwiedzić. Gdy zobaczyłem dąb, wydał mi się znajomy, ale czy na pewno? Gdzie jest strumień? Rów przy drzewie był suchy jak pieprz, rozejrzałem się więc, zrobiłem wypadki na boki, znalazłem jakiś inny suchy rów: wyschnięty strumień, czy rów melioracyjny? Chcąc się upewnić poszedłem dalej, do nieodległego Olszowego Stawu, pamiętając, iż Rogozino do niego właśnie wpada. Rów doprowadził mnie do stawu, poznałem miejsce ujęcia.



Olszowy Staw

Rogozina więc nie ma, tak po prostu nie ma, a z nim ulotniła się niemała część uroku miejsca pod dębem. Jednakże wiem, że strumień odrodzi się po jesiennych deszczach, wtedy pójdę tam jeszcze raz.

Wrócić warto także dla zobaczenia stawu z uroczą wysepką i małymi polanami pod dębami rosnącymi blisko brzegu. Parę kilometrów dalej jest w lesie miejsce, które też przyciąga, chociaż urok nie w nim samym: to miejsce przecięcia linii pełnego południka i równoleżnika. Mam więc plan jednego z przyszłych dni w moich górach.



Chaber polny

Wracałem szerokim zakolem, zboczami wzgórz łagodnie schodzących w szeroką a płytką dolinę, chociaż marsz spacerkiem nie był, ponieważ parę razy musiałem pokonywać dość głębokie i strome jary strumieni. Część drogi wypadła pod linię wysokiego napięcia, a widać tam było ślady niedawnych prac elektryków. Otóż usunięto nie tylko drzewa, ale dosłownie wszystko, co zielone. Widok strumienia pozbawionego roślinności tak dokładnie, że nie zieleni się przy nim nawet jedno źdźbło trawy, jest bardzo smutny, wprost przytłaczający. Nie wiem czym i po co niszczone tam wszystko, co żywe. Chociaż konieczność wycinania drzew jest zrozumiała, krzewy dorastające do dwóch czy trzech metrów nie mogą przeszkadzać liniom rozwieszonym na wysokości siódmego piętra. Tam jednak, na nagiej, szarej ziemi zostawiono jedynie zmiażdżone, połamane, rozszarpane strzępy gałęzi – jakby jakiś potworny kornik dopadł drzew i krzewów, wpychał je w swoją paszczę i wypływał przeżute. Może tak wyglądałaby Ziemia po wojnie atomowej?

Rano z Zadory patrzyłem na szarozielony świat, jednak wieczór po królewsku wynagrodził mi tamtą szarość. Wysokie zbocze wzgórza opada na zachód, siedłem więc pod słońce i tak też robiłem zdjęcia, tyle że obiektyw ustawiałem w cieniu żeby nie oślepl. Sam patrzyłem pod słońce chcąc doznać olśnienia jednym z ajpiękniejszych zachodów, jakie widziałem w moich górach. Bliska zieleń traw i drzew, granatowe zbocza gór i stopniowo szarzejąca dal, zabarwione były oranżowo, a może szafranowo, światłem zachodzącego słońca. Świat wyglądał jak oprószony pyłem ciemnego złota. Był jak z bajki.

Wstałem, gdy słońce zaszło i ruszyłem w dół, do miasteczka. U stóp wzgórza mijałem tę samą starą i samotną jabłoń, której jabłka zebrane rano jadłem w ciągu dnia. Dobre jabłka, chrupkie, ale nietwarde, słodko-winne, z niegrubą skórką i bardzo aromatyczne. Wybierałem nieuszkodzone jabłka leżące w trawie. Nie dla złotówkowej oszczędności ani nie tylko dla ich smaku. Po prostu szkoda mi się zrobiło – nie wiem, czy bardziej jabłoni, czy tego dobra marnującego się na ziemi. Poczułem się lepiej, gdy kieszenie nappełniłem owocami.

Krzysztof Gdula

Ikona Madonny w Suchej Beskidzkiej jest starsza, niż sądzono

Obraz Matki Bożej z kościoła pw. Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny w Suchej Beskidzkiej jest starszy, niż sądzono, o około trzysta lat. Otoczona kultem ikona to „podwójna” Hodegetria (grec. Wskazująca Drogę) – Matka Boża wskazuje na Jezusa, a Jezus wskazuje dłonią na Madonnę. W Suchej zwana jest także Matką Bożą Jagodną.

W 1888 r. ikona została zasłonięta lustrem, przez które widoczne były tylko twarze i dłonie Maryi i Dzieciątka Jezus. Pozostała część została zakryta drewnianą, złożoną sukienką podobną w typie do sukienki Matki Bożej Częstochowskiej. Po zdjęciu wszystkich elementów zasłaniających płótno ukazał się właściwy wizerunek Maryi. Sensacyjnego odkrycia dokonano w grudniu 2018 r.

Okazuje się, że dzieło było dotychczas błędnie datowane na koniec XIX wieku, czyli na okres, kiedy sukienki ofiarował kościelny Józef Bańdura (na odwrocie zachowana jest odręczna, ołówkiem wpisana, donacja z podpisem i rokiem 1888).

W rzeczywistości ikona jest starsza, namalowana została prawdopodobnie pod koniec XVI lub na początku XVII wieku, na co wskazuje struktura płótna, użyte pigmenty malarskie oraz symbolika.

Zakłada się, że Maryi i Dzieciątka domalowano tzw. korony władysławowskie. Mogło to mieć miejsce w pierwszej połowie XVII wieku, kiedy to podobne korony były domalowywane do ikon po tym, jak król Władysław IV Waza ufundował w 1635 r. korony dla obrazu Matki Bożej Częstochowskiej.

Odsłonięty obraz okazał się mocno podniszczony. Będzie poddany gruntownej renowacji w Wydziale Konserwacji i Restauracji Dzieł Sztuki Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie, a za pomocą tomografu określone zostanie dokładne datowanie dzieła. Badanie wykaże także, kiedy i czy był poddawany zabiegom konserwatorskim oraz ujawni wcześniejsze przemalowania i starsze warstwy.

Po przeprowadzonej konserwacji technicznej i estetycznej obraz powróci do kościoła i będzie wyeksponowany w pierwotnym stanie, czyli bez przysłaniającego lustra i sukienek.

Przypomnę, że ikona Madonny z Dzieciątkiem z Suchej Beskidzkiej jest wpisana do rejestru zabytków ruchomych województwa małopolskiego.

Ryszard M. Remiszewski

Fot. ze strony Urzędu Miasta Sucha Beskidzka



Skarb, cukrownia, kolejka...

– słów kilka o miejscowości Zbiersk

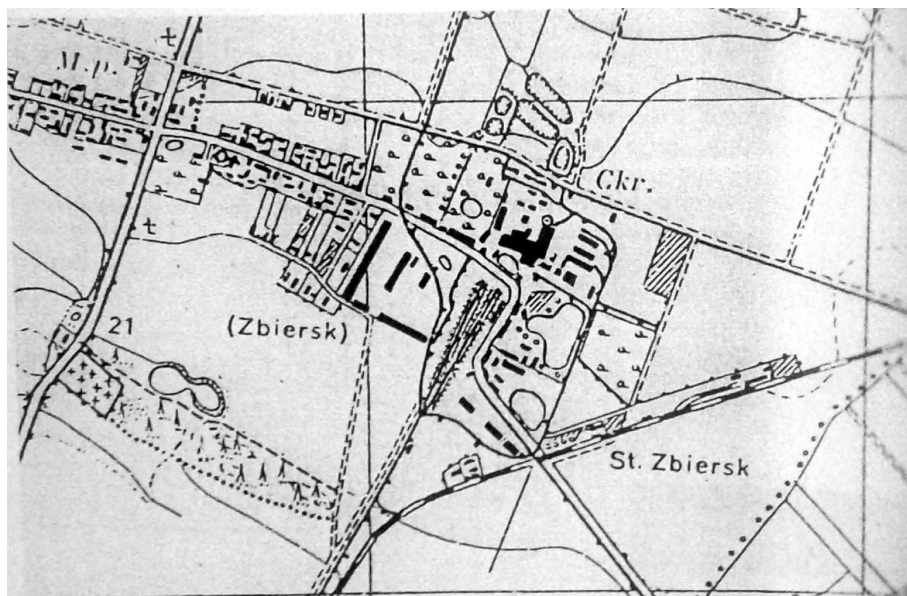
Zbiersk to wieś położona w woj. wielkopolskim, w powiecie kaliskim, w gminie Stawiszyn, przy drodze krajowej nr 25 (Konin – Ostrów Wlkp.), oddalona o 22 km od Kalisza i o 33 km od Konina. Do 1954 r. Zbiersk był siedzibą samodzielnie funkcjonującej gminy wiejskiej. Obecnie należy administracyjnie do gminy i miasta Stawiszyn. Na terenie wsi znajdują się trzy sołectwa: Zbiersk, Zbiersk Cukrownia i Zbiersk Kolonia.

Skarb ze Zbierska

Niegdyś Zbiersk wraz z okolicznymi wsiami wyznaczał północną granicę Puszczy Pyzdrowskiej. Położona na terenie miejscowości część tego rozległego kompleksu leśnego zachowała się do dziś. Według legendy, w lasach Zbierska przed wiekami grasował rozbójnik, który wraz ze swoją bandą napadał na kupców jadących traktem handlowym z towarem. Rozbójnik nocował u Żyda w karczmie znajdującej się w okolicach lasu, na Zamętach. W pobliżu karczmy zakopał skrzynie ze złotem. Łup do dzisiejszego dnia nie został odkryty, a dalsze losy rozbójnika są nieznane.

Śladami legendy o zbójnickim skarbie w 2006 r. podążyli dwaj badacze – archeolog Mirosław Andrałojć i elektronik Piotr Szyngier. Efektem ich poszukiwań było odkrycie w pobliżu drogi do Rychwała tzw. „Skarbu ze Zbierska”, składającego się ze 119 srebrnych monet i ich fragmentów, fragmentów ozdób i placków srebrnych oraz ułamków naczyń, w którym był złożony. Skarb został przekazany do Muzeum Archeologicznego w Poznaniu. Wśród interesujących monet zobaczyć można m.in. denary króla węgierskiego, monety czeskie księcia Brzetysława czy skandynawskie denary krzyżowe. Odkrycia części skarbu dokonał już w 1937 r. Antoni Szczepaniak – mieszkaniec wsi Zamęty. Podczas karczowania lasu natrafił na naczynie, które uległo rozbiciu. Wówczas 65 elementów pochodzących z tego znaleziska pozyskało Państwowe Muzeum Archeologiczne w Warszawie. Prawdopodobnie „Skarb ze Zbierska” musiał być znacznie większy i został ukryty pod koniec XI wieku.

Kto choć raz był w Zbiersku, ten zaobserwował, że prawdziwym skarbem tego miejsca jest bogactwo fauny i flory. Wieś otoczona jest od strony północnej, północno-wschodniej i północno-zachodniej lasami. Wchodzą one w skład Nadleśnictwa Grodziec, którego powierzchnia wynosi 7669 ha. Zachowały się



Plan Zbierska. Fot. M. Gołembiewska



Dąb Bursztyn. Fot. M. Gołembiewska

okazały dęby szypułkowe – 9 z nich ustanowiono pomnikami przyrody. W leśnictwie Zbiersk wyznaczony został także teren do zakwalifikowania jako rezerwat przyrody o nazwie „Czarcie Bagno”. Ciekawym pomnikiem przyrody jest okazały dąb szypułkowy „Bursztyn” o obwodzie 350 cm, rosnący przy trasie Zbiersk – Turek, ok. 150 m na zachód od leśniczówki.

Bogactwo fauny to przede wszystkim występujące tam gatunki zwierząt – dziki, jelenie i danielę oraz inne ssaki: bobry, borsuki, kuny, piżmaki, sarny, lisy, zające. Pojawiają się też siedliska ptaków: bażantów, kuropatw, kaczek, łabędzi, żurawi, jastrzębi i bocianów białych. W lasach Zbierska Kolonii występuje stanowisko bociana czarnego proponowane do objęcia ochroną.

O lasach zbierskich krąży wiele legend. Jedna z nich głosi, iż przed wiekami, w okolicach wydmy piaszczystych zwanych Łysymi Górą, spotykały się czarownice z okolicznych miejscowości, czcząc złego ducha. Najslawniejszą czarownicą była Regina Derciowa ze Stawiszyna, oskarżona o czary powodujące psucie piwa. Jej proces odbył się przed sądem w Kaliszu w 1616 r. Według zachowanych akt procesowych czarownica została skazana na spalenie. We wsi Korzeniew, oddalonej o 6 km od Zbierska, na otoczonej lasami piaszczystej górze, za którą były bagna, mieszkała również czarownica, która uprawiała czary i zadawała uroki – m.in. krowom „psuła” mleko. Kto zaś boi się czarownic, może – zgodnie ze starym zwyczajem ze Zbierska i okolic – położyć miotłę na progu domu, by ochronić domostwo przed czarami.

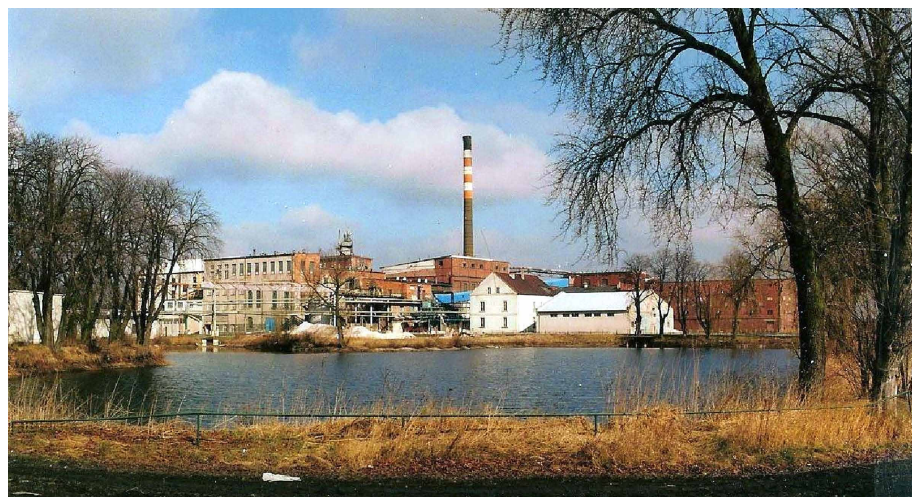
W księgach zapisano Sezibiersco

Nazwa wsi pochodzi prawdopodobnie od słowa „zbirsko” oznaczającego skupisko bądź zbiorowisko. Powstała na terenie bagnistym i rozwijała się wśród kilkudziesięciu zbiorników wodnych. Najprawdopodobniej właśnie określeniem „zbirsko” nazywano to skupisko zbiorników wodnych.

Zbiersk istniał już w XI w. Po raz pierwszy miejscowość wzmiankowana była w 1063 r. pod nazwą Sezi-biersco. Natomiast w 1103 r. Zbiersk stał się uposażeniem klasztoru w Mogilnie. Nazwa miejscowości zmieniła się wówczas na Sebersko, a później na Zbiersko. W 1306 r. na wieś najechali Litwini, a dwadzieścia pięć lat później Krzyżacy. Nie oszczędziły jej również wojska szwedzkie, które w lipcu 1659 r. dokonały rabunku. Od XVI wieku miejscowość staje się własnością szlachty zagrodowej – Zbierskich. Od 1759 r. większą część Zbierska dzierżył sędzia wieluński Stanisław Kożuchowski. Natomiast dwanaście lat później jedna



Zbiornik wodny w lesie Zbierska Kolonia. Fot. M. Gołembiewska



Budynki dawnej Cukrowni „Zbiersk”. Fot. L. Luzny

z części wsi znalazła się w posiadaniu szambelana królewskiego Leona Gąsiorowskiego herbu Ślepowron, a wkrótce dostała się w ręce małżonków Jakuba i Franciszki Przespolewskich. W kolejnych latach włości przejął ponownie Leon Gąsiorowski. W 1797 r. po Stanisławie Kożuchowskim majątek odziedziczył jego syn Antoni, a później dobra nabył krewny – Tadeusz Kożuchowski i sprzedał je Konstantemu Kręskiemu, ożenionemu z Brygidą z Kożuchowskich.

W 1847 r. włości od Kręskiego zakupił Wilhelm Aleksander Repphan, który mieszkał we dworze w Petrykach i był właścicielem Petryk, Bartodziei, Ostrówka i Łyczyna. Po nim majątek odziedziczył jego syn August. W 1884 r. wieś stała się własnością spółki akcyjnej pod nazwą Towarzystwo Cukrowni i Rafinerii „Zbiersk” Wilhelma A. Repphana, należącej do rodziny Repphanów. W czasie II wojny światowej Zbiersk nazywany był Vorwalde.

Prawdopodobnie już w XVI w. w Zbiersku znajdował się m.in. dwór i młyn wodny, a w XVII w. owczarnia, stodoły, browar i obory. Natomiast w I połowie XVIII w. zabudowę folwarczną powiększono o 2 stodoły, 3 chlewy, trzypiętrowy spichlerz, gorzelnie, mielcuch i owczarnie. Dwór był już wówczas zrujnowany, ale w XIX w. w folwarku funkcjonowała cegielnia. W XVIII w. sprowadzono do miejscowych lasów 14 osadników niemieckich, tworząc osadę Olędry Zbierskie. Olędrzy posiadali własną szkołę i karczmę. W 1771 r. we wsi Zbiersk znajdowało się 37 chałup, gościniec pański, młyn u Depta, a także wiatrak. Miejscowość liczyła wówczas 54 dymy i 275 mieszkańców. W 1854 r. było w Zbiersku 76 dymów i 583 osoby. Liczba ludności wzrosła w 1879 r. aż do 1500 osób, a do rozwoju wsi przyczyniło się bezpośrednie drogowe połączenie z Kaliszem i Koninem (obecnie droga krajowa nr 25).

Towarzystwo Cukrowni i Rafinerii „Zbiersk” Wilhelma A. Repphana

W XIX w. w majątku zajmowano się przeważnie chowem owiec, a wełnę sprzedawano do manufaktury Braci Repphan w Kaliszu. W 1845 r. pobudowano na terenie folwarku „Fabrykę Cukru”, która początkowo przeznaczona była do przerobu buraków, uprawianych w dobach Wilhelma Repphana.

Początkowo w fabryce pracowało ok. 50 ludzi, a przerób wynosił 4 wozy parokonne buraków na dobę. Do przerobu buraków wykorzystywano płuczkę i prasy wyciskające, napędzane kieratem obracany przez konie, a większość prac wykonywano ręcznie. Dzięki utworzeniu w 1869 r. drogi z Kalisza do Konina oraz sprzyjającej cukrownictwu polityce rządu rosyjskiego fabryka szybko się rozwijała. W 1880 r. zakład rozbudowano i zastosowano maszyny parowe, które w 1936 r. zastąpiono dwiema turbinami. Od 1884 r. fabryka funkcjonowała jako spółka akcyjna, pod nazwą Towarzystwo Cukrowni i Rafinerii „Zbiersk” Wilhelma A. Repphana i należała do rodziny Repphanów. W okresie międzywojennym zakład nazywano Cukrownią i Rafinerią „Zbiersk”. Po II wojnie światowej przedsiębiorstwo przeszło, pod przedwojenną nazwą, pod zarząd państwa. W 1951 r. utworzono przedsiębiorstwo państwowe Cukrownia „Zbiersk” zajmujące się przede wszystkim produkcją cukru i kontraktowaniem buraka cukrowego, cykorii i rzepaku. Od 1967 r. zakład ten, wraz z innymi 11 cukrowniami z Wielkopolski Południowej, tworzył jedno przedsiębiorstwo państwowe pod nazwą Cukrownie Wielkopolskie w Poznaniu. W 1990 r. działalność cukrowni rozszerzono o handel produktami ubocznymi powstającymi przy produkcji cukru (melasa, wysłodki, żużel, wapno palone i lasowane, energia elektryczna i ciepła, błoto defekacyjne, ziemia, odłamki buraczane i inne), usługowe suszenie rzepaku i zbóż oraz prowadzenie przyzakładowego chowu trzody. Zakład w 2001 r. został prywatyzowany i przejęty przez niemiecki koncern cukierniczy Pfeifer & Langen KG z Kolonii. W 2005 r. nastąpiła całkowita likwidacja cukrowni, a budynki zostały przejęte przez Grupę AWW Fabryka Wódek i Nalewek PHP Wiesława Wawrzyniaka z Kalisza i utworzono fabrykę alkoholu rektyfikowanego oraz biogazownię.



Cukrownia – widok na plac. Fot. L. Luzny

Śladami chrześcijaństwa

Jednym z ciekawszych zabytków Zbierska jest drewniany kościół pw. św. Urszuli, ufundowany przez Stanisława Kożuchowskiego w 1759 r. (Pierwszy kościół we wsi istniał już najprawdopodobniej w XV w., ale jego losy są nieznane.) W 1879 r. staraniem Wilhelma Repphana, dobudowano do świątyni murowane

prezbiterium, zakrystię i kruchtę. Kościół jest orientowany, jednonawowy, konstrukcji sumikowo-łątkowej. Ma dach dwukalenicowy, nad nawą kryty blachą, a nad prezbiterium i zakrystią – dachówką. Nad nawą umieszczono sygnaturkę z ażurową latarnią. Wyposażenie kościoła jest rokokowe. Trzy ołtarze, chrzcielnica i ambona pochodzą z 1760 r. Świątynia jest nieczynna, ponieważ w latach

2003–2010 naprzeciwko starego kościoła, wybudowano nowy, pod wezwaniem Matki Boskiej Różnicowej. W nawie wschodniej wmurowano w ścianę relikwiarz ze szczątkami św. Augustyna.

Zapomnianym, aczkolwiek ciekawe miejsce to cmentarz ewangelicki w Zbiersku Kolonii. Jest zniszczony, ale bywa odwiedzany – widać czasem przyniesione kwiaty czy zapalone znicze. Spoczywa na nim kilkunastu Olędrów. Na najlepiej zachowanych nagrobkach znaleźć można tablice rodzin Limmerów, Gardke czy Meissów. W centralnej części cmentarza znajduje się drewniany krzyż.

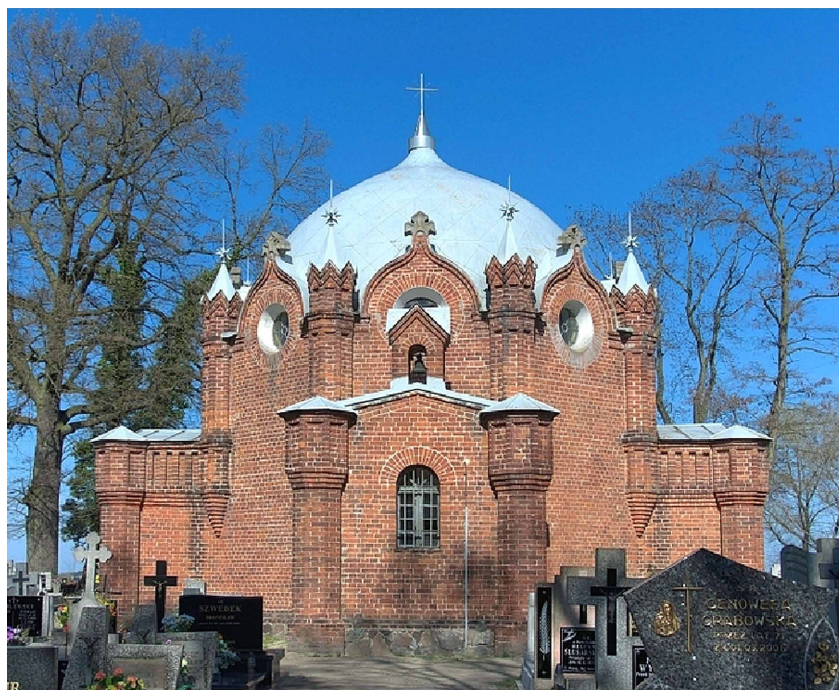
Czas na odpoczynek

Zbiersk jest ciekawym miejscem pod względem turystycznym. W lasach Zbierska Kolonii znajdują się trzy stawy, przez lokalną ludność nazywane „stawkami”. Są one miejscem odpoczynku. Zbiorniki wodne są zarybione, a opiekę nad nimi sprawuje Koło Polskiego Związku Wędkarskiego ze Zbierska, które kilka razy w roku organ

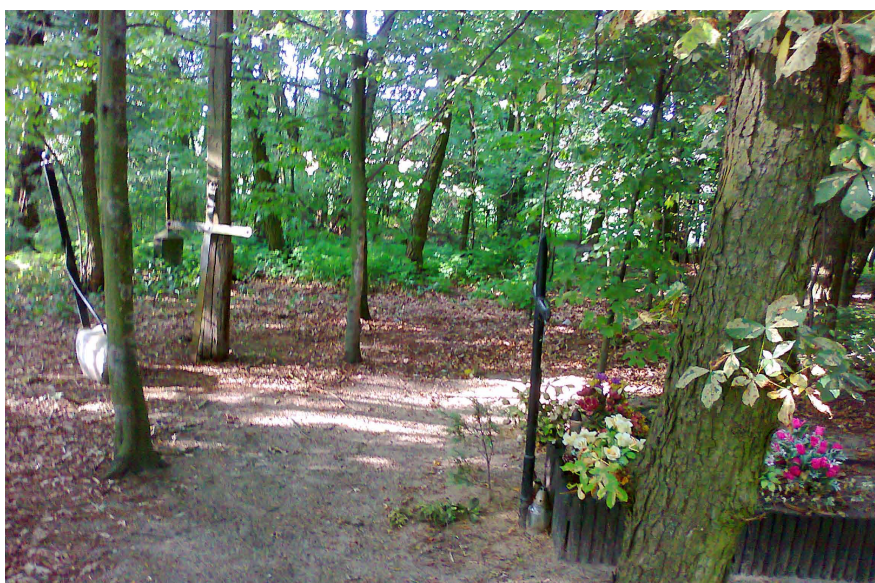
izuje we współpracy z Burmistrzem Gminy i Miasta Stawiszyn zawody wędkarskie. Miejscowe lasy obfitu

ją także w grzyby i są prawdziwym rajem dla grzybiarzy. Kto lubi zbierać grzyby, może wybrać się do lasu w okolicach tzw. „czarnej drogi”. Był to dawny trakt, wytyczony w czasach II wojny światowej przez wojska niemieckie w celu uzyskania połączenia Łodzi z Poznaniem. Trasa ta została utwardzona szlaki i od koloru tego surowca wzięła swoją nazwę.

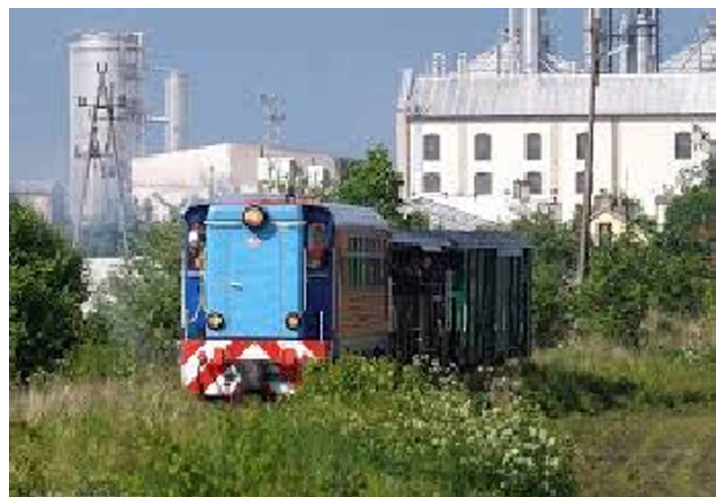
Atrakcję stanowią przejazdy kolejką wąskotorową ze Zbierska do Petryk. W 1913 r. Towarzystwo Akcyjne Cukrowni i Rafinerii „Zbiersk” uzyskało pozwolenie na budowę kolejki wąskotorowej ze Zbierska do Opatówka. W 1914 r. powstał odcinek z Turku do Zbierska, wybudowany przez armię rosyjską. Rok później Towarzystwo Akcyjne Cukrowni i Rafinerii „Zbiersk” przedłużyło kolejkę do Opatówka, łącząc ją z linią normalnotorową.



Kaplica cmentarna w Zbiersku. Fot. M. Gołembiewska



Cmentarz ewangelicki w Zbiersku Kolonii. Fot. M. Gołembiewska



Kolejka wąskotorowa. Fot. M. Gołembiewska

Podczas wojny kolejka została zarekwirowana przez okupantów. Po wojnie przestała służyć wojsku, uruchomiono ruch pasażerski i towarowy, a kolejkę przejęło PKP i odtąd funkcjonowała jako Kaliska Kolej Dojazdowa. W przeszłości miała też połączenie z Kaliszem. Odcinek z Kalisza przez Niedźwiady i Kokanin został obecnie zdemontowany. Kolejka została reaktywowana przez Starostwo Powiatu Kaliskiego oraz Stowarzyszenie Kolejowych Przewozów Lokalnych z Kalisza. W okresie wakacji, w każdą niedzielę można przejechać się nią do Petryk.

Warto podkreślić, iż kościół pw. św. Urszuli w Zbiersku leży na Szlaku Kościołów Drewnianych Ziemi Kaliskiej, a Starostwo Powiatu Kaliskiego, aby promować ten obszar, utworzyło odznakę krajoznawczą o tej samej nazwie. Przez Zbiersk przebiega również, zwłaszcza na obszarze leśnym, znakowany czerwony szlak rowerowy. Ponadto Nadleśnictwo Grodziec oznakowało trasę rowerową do szkółki leśnej w Zbiersku, gdzie prowadzone są zajęcia dla dzieci i młodzieży na temat powstawania lasu.

Marta Gołembiewska

Literatura:

S. Małyszko, „Majątki wielkopolskie. Tom VI. Powiat kaliski”, Muzeum Rolnictwa i Przemysłu Rolno-Spożywczego, Szreniawa 2000.

P. Sobolewski, „Wokół Stawiszyna” [w:] „Kaliski Kalejdoskop” pod red. P. Sobolewskiego, Edytor, Kalisz 2015.

Nowe polskie miasto Pacanów

Wszystkie mądre polskie kozy...

Wśród nowych polskich miast będzie od 2019 roku osobliwa stolica kowali podkuwających polskie... kozy, czyli Pacanów. Kłopot tylko z tym, że podkuwanie kóz jest niemożliwe, bowiem to są zwierzęta parzystokopytne, a zetem żadna podkowa, ani nawet niewielka podkówka, do kozich racic nie da się przykuć... Ale w bajce, jak to w bajce, nawet kozy można podkuwać...

Jak czytamy na początku: *A gdy wróci ten wędrowiec, / już podkuty ale zdrowy, / wszystkie kozy się dowiedzą, / czy to dobrze mieć podkowy...* W latach 1933 i 1934 ukazały się cztery książki (po dwie w każdym roku). Pierwsza to „120 przygód Koziołka Matołka”, potem druga, trzecia, czwarta – po 120 obrazków i czterowierszowe zwrotki.

Chwała stolicy polskiego kowalstwa pacanowskiego, czyli wsi, do której w baaaaaaardzo długiej wędrówce, mozolnie, wbrew wszelkim przeciwnościom, długo, ale skutecznie, zmierzał Koziołek Matołek... Opowieść o niesamowitych przygodach Koziołka Matołka zaczyna się tak: *W sławnym mieście Pacanowie tacy sprytni są kowale...* Pacanów został wsią za karę, z nakazu rosyjskiego cara w 1869 roku, za udział mieszkańców w powstaniu styczniowym. Miastem Pacanów był przez 604 lata (!!!). Wieś rozslawiona opowieścią o koziołku była stolicą gminy Pacanów w województwie świętokrzyskim, powiecie buskim. Kiedyś prywatne miasto szlacheckie, dzięki fantazji twórczej pisarza Kornela Makuszyńskiego (1884–1953) stało się stolicą... bajki, z pomnikiem Koziołka Matołka, w swoisty sposób nobilitowane jako atrakcja turystyczna.

W pierwszej księdze „120 przygód Koziołka Matołka” czytamy: [...] *Czule żegnał go ród kozi, / mama i sędziwy tata, / a Matołek wziął tobolek i wędruje na skraj świata... / Kiedy znalazł się na drodze, / po raz pierwszy na wolności, / skoczył nasz koziołek w górę, / aby rozprostować kości...* Wtedy się zaczęło to bardzo długie pasmo przygód – od przestraszenia Koziołka przez... wilka, kiedy to uniknął najgorszego wskazując na drzewo. Wiele pokoleń kilkuletnich maluchów słuchało czytanych im przez rodziców na dobranoc, najpierw z pierwszej książki, rymowanych opowieści o Koziołku, o jego podróży by... *po szerokim szukać świecie tego, co jest bardzo blisko.* Kilka milionów dzieciaków słuchało opowieści o kolejnych przygodach sławnego, zaradnego, sprytnego, czasem gapowatego Koziołka, który z setek kłopotów wychodził zwycięsko,



Herb Pacanowa

pokrzepiony i zahartowany do kolejnych niesamowitych przygód, w drodze do... Pacanowa. Sympatycznego Koziołka i jego długie poszukiwanie Pacanowa narysował Marian Walentynowicz (1896–1967), architekt, rysownik, ojciec polskiego komiksu, ilustrator bardzo popularnych książek dla dzieci.

W lutym 2018 roku Rada Gminy Pacanów uchwaliła treść i podjęła uchwałę, aby wystąpić z wnioskiem do Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji o przywrócenie praw miejskich. Kolejnym krokiem były konsultacje z mieszkańcami, które odbyły się w marcu i kwietniu tegoż roku. Wniosek poparło 85,9% uprawnionych do głosowania.

Sława Pacanowa nierozdzielnie związana jest z postacią bohatera literatury dziecięcej. Miasto nie ma wybitnych zabytków, jest tylko kościół pw. Świętego Marcina z XVII wieku o ran-dze bazyliki mniejszej.

Pacanów chlubi się od 2003 roku tytułem Europejskiej Stolicy Bajek. Powstałe tam nowoczesne Centrum Bajki im. Koziołka Matołka to od 2005 roku jedyna tak osobliwa placówka kulturalna. W nowoczesnych pomieszczeniach i na zewnątrz odbywa się tam 12 imprez rocznie (po 3 w każdym kwartale), oczywiście dla dzieci i dorosłych. Starsi mogą sobie przypominać (także podczas Nocy Muzeów) swoje dzieciństwo, a młodsi poznawać baśniowych bohaterów i bajki, z Koziołkiem na głównym miejscu. Trafił on podobno do Pacanowa za sprawą braci kowali o nazwisku Koza, stąd opowieść o Kozach co podkuwają kozy.

Oczywiście jest w Pacanowie wspaniały pomnik Koziołka Matołka. Dzięki niemu przecież wieś stała się miejscem turystyki rodzinnej, rozrywki i pożytecznego spotkania z poetycką opowieścią o naszym kraju, a także miejscach charakterystycznych wielu innych krajów świata. W Pacanowie bajka o Koziołku uczy i bawi jednocześnie. Każdego roku Centrum Bajki odwiedza około 150 tys. osób, kilkulatków z rodzicami lub dziadkami, którzy to wspominają swoje młode lata, pierwsze bajkowe opowieści i atrakcyjne graficznie książki Makuszyńskiego i Walentynowicza. W Centrum swoistą rolę wychowawczą i poznawczą odgrywa teatr lalek „Kurtyna” i księgarnia. Za budynkami Centrum jest park czy może raczej ogród i sadzawka – oczko wodne.

Najważniejsze imprezy w Pacanowie organizowane są z okazji Międzynarodowego Dnia Dziecka oraz kolejnych rocznic Matołka (w 2019 roku będą to już jego 86. książkowe „urodziny”). 1 czerwca odbywa się Festiwal Kultury Dziecięcej z liczным udziałem młodszych i starszych uczestników z Polski i zagranicy. Program imprez w Centrum co roku jest bogatszy – od 2007 roku odbywają się dziecięce Spotkania Mistrzów Teatru, Spotkania Mistrzów Muzyki, ogólnopolskie konkursy pod nazwą „Podróże Koziołka Matołka”, konkurs fotograficzny, a także biegi terenowe na niedługie dystanse.

Pacanowskiemu Centrum Bajki przyświecają podobne cele, jak Muzeum Książki Dziecięcej w Warszawie czy Izbie Pamięci Marii Kownackiej (autorki opowieści o Plastusiu). Jest ono miejscem spotkań naukowców, pedagogów, autorów literatury dziecięcej, bajkopisarzy. Dyrektor Centrum jednocześnie kieruje Instytutem Bajki, który współpracując z bibliotekami skupia je dla wzbogacenia ich działalności edukacyjnej i wychowawczej. Organizuje on spotkania i konferencje naukowe poświęcone tworzeniu literatury dziecięcej i młodzieżowej, patronuje autorom prac magisterskich i licencjackich poświęconych takiej literaturze.

Pacanów jest jedną z siedmiu miejscowości w województwie świętokrzyskim, które 1 stycznia 2019 roku uzyskały, w większości ponownie, prawa miejskie. W listopadzie 2018 roku pisaliśmy o świętokrzyskim Szydłowie (nr e-145 /341/ „Do Szydłowa wróci miejskość”) uprzedzając odnowienie jego praw miejskich.

Osobny rozdział opowieści o Koziołku Matołku wypadałoby poświęcić jego... pomnikom i – niestety – aktom wandalizmu. Otóż figura Koziołka stała przez pewien czas w Zakopanem, ale ktoś wyłamał ją z podstawy. Sprawcy nie znaleziono. Na szczęście jej twórca, znany rzeźbiarz Andrzej Renes, absolwent Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych im. Antoniego Kenara w Zakopanem, zachował formę gipsową i dzięki właścicielowi zakopiańskiej cukierni Koziołek Matołek wrócił na miejsce, przed willę z Muzeum Kornela Makuszyńskiego. Kopia figury Koziołka z Zakopanego znajduje się w rzeszowskim Muzeum Dobranoczek.



Europejskie Centrum Bajki im. Koziołka Matołka w Pacanowie

Warto wiedzieć, że w 1960 roku powstał jeden z pierwszych filmów animowanych, którego bohaterem dobrocnockowym był Koziołek Matołek (reż. Bogdan Nowicki i Piotr Szpakowicz). Co pewien czas w teatrach wystawiane są dla dzieci adaptacje sceniczne niesamowitych przygód Koziołka.

Oczywiście w Pacanowie stoi kilka pomników Matołka. Jeden z nich, ten na Rynku, padł ofiarą pijaczyny, którego bardzo szybko zatrzymano, a pomnik z nietrwałego materiału (styropian?) szybko odnowiono. Mamy też w tym mieście rzeźbę Koziołka w drewnie, choć znacznie mniej zgrabną. Jest i trzeci pomnik, Matołek w postaci bardzo wesołego młodzieńca, także rzeźba w drewnie. Na płocie jednej z posesji pacanowskich znajdziemy kilka postaci Matołka, bardzo podobnych do oryginału w książkach.

A tak zaczęła się o nim opowieść: *Wszystkie mądre polskie kozy, / by je zliczyć nie mam siły, / na naradę się zebrały / i rzecz taką uchwałyły. / W sławnym mieście Pacanowie / tacy sprytni są kowale, / że umieją podkuć kozy, / by chodziły w pełnej chwale. / Przeto koza albo kozioł, / jakaś bardzo mądra głowa, / aby podkuć się na próbę / musi iść do Pacanowa. / A gdy wróci ten wędrowiec, / już podkuty, ale zdrowy, / wszystkie kozy się dowiedzą, / czy to dobrze mieć podkowy. / Kto ten dzielny, / kto się zgłasza? / Ja, zawołał w głos Koziołek, / miał maleńką piękną bródkę, / a wolano nań Matołek. / Czule żegnał go ród kozi, / mama i sędziwy tata, / a Matołek wziął tobolek / i wędruje na skraj świata.*

(Pisane z pamięci, mogą być błędy...)

Tomasz Kowalik

Siedemdziesięciolecie stołecznej aorty

Trasa Wschód – Zachód i odwrotnie

Nie każda ulica w dużym, średnim i małym mieście zasługuje na nazwę arteria, aorta, magistrała. Warszawska Trasa Wschód – Zachód, czyli sławna Trasa W–Z, ma po prostu bardzo ważne znaczenie dla komunikacji lokalnej, krajowej i międzynarodowej. Łączy nie tylko odległe regiony kraju, ale w Warszawie dwa brzegi Wisły, dzielnicę staromiejską z praską. I ma swoją osobliwą i bogatą historię. Cały nowoczesny ciąg komunikacyjny w rejonie warszawskiego Starego Miasta i Mostu Śląsko-Dąbrowskiego oddano do użytku w dniu wymuszonych obchodów obowiązkowego tzw. Święta Odrodzenia, 22 lipca 1949 roku (jak podpowiadają dowcipnisie: dawniej E. Wedel).

Trasa formalnie ma tylko 7 kilometrów, według klasyfikacji polskich dróg jest częścią drogi wojewódzkiej nr 629, ale w historii miasta zapisana jest w ciągu kilku stuleci. Po obydwu jej stronach znajduje się mnóstwo ważnych budowli zabytkowych, poczynając od zbiegu ulic Wolskiej i Młynarskiej na północy, przez staromiejską część z Zamkiem Królewskim i Pałacem pod Blachą, po Dworzec Wileński, ulice Radzymińską, Targową, nowoczesną stację metra i kompleks modernistycznych budynków Dyrekcji Kolei Państwowych z lat 1928–1931, z elementem stylizowanym na rzymski portyk. Jesienią 1944 roku była tam siedziba pierwszego urzędu prezydenta wyzwolonej Warszawy.

Dawniej w tym miejscu znajdował się Dworzec Petersburski dawnej Kolei Warszawsko-Petersburskiej, zniszczony w 1915 r., a ulica prowadząca ku północy i przez most przez Wisłę nazywała się Aleksandryjska. Po wojnie, jako część trasy W–Z, to ulica gen. Karola Świerczewskiego, obecnie Aleja Solidarności. Ważne są przy niej Szpital Praski im. Przemienienia Pańskiego przy Placu Weteranów z 1863 roku, jedna z najbardziej znanych warszawskich szkół – VIII Liceum Ogólnokształcące im. króla Władysława IV, wybieg dla niedźwiedzi zapraszający do Ogrodu Zoologicznego, potężna, zbudowana w stylu bizantyjskim w latach 1867–1869 cerkiew – Sobór Metropolitalny, parafia katedralna pw. Świętej Równiej Apostołów Marii Magdaleny.

Trasa W–Z to pierwsza z wielkich inwestycji urbanistycznych w Warszawie. Powstawała w latach 1947–1949 w miejscu dawnego mostu im. Stanisława Kierbedzia, który go zaprojektował, pierwszego stalowego o konstrukcji kratownicowej mostu przez Wisłę, zbudowanego w latach 1859–1864. Służył on jako most drogowy i dla tramwajów linii od Krakowskiego Przedmieścia przez Nowy Zjazd do ul. Targowej. Zupełnie zniszczony we wrześniu 1944 roku został zastąpiony w latach 1947–1949 roku nowoczesnym Mostem Śląsko-Dąbrowskim. Jego nazwa upamiętnia dostarczenie elementów konstrukcyjnych przez huty ze Śląska.

Most jest jednym z głównych elementów Trasy W–Z, wraz z tunelem pod staromiejskimi kamienicami oraz ulicami Miodową i Krakowskie Przedmieście. Służy ruchowi drogowemu i tramwajowemu, a zaprojektował go zespół wybitnych ówczesnych architektów: Stanisława Jankowskiego (1911–2002), sławnego

cichociemnego „Agatona”, adiutanta gen. Bora Komorowskiego; Jozefa Sigalina (1909–1983), który był szefem Biura Odbudowy Stolicy; Zygmunta Stępińskiego (1908–1992), architekta i urbanistę; Jana Knothe (1912–1977), architekta, absolwenta Gimnazjum im. Władysława IV. Byli oni także projektantami Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej (MDM).

Ale poprowadzenie ulicy w tunelu i przez most to niejedyna atrakcja i przykład śmiałej myśli technicznej w budownictwie drogowym. O wiele większą ciekawostką są od 70 lat pierwsze w Warszawie schody ruchome. Przez wiele lat była to w stolicy jedna z największych atrakcji turystycznych, tym bardziej popularna, że znajdująca się wewnątrz zabytkowej staromiejskiej Kamienicy Johna, kilkadziesiąt metrów od Kolumny Zygmunta III Wazy, kilkaset metrów od Zamku Królewskiego i Starego Miasta. Schody były atrakcją zwłaszcza dla tzw. wycieczek z prowincji i tysiacy uczestników wycieczek młodzieży szkolnej, rozrywką trudną do opamiętania przez przewodników, bo dzieciarnia bawiła się jeżdżąc kilka razy w dół i do góry.

Także do dziś wystrój tego miejsca, zwłaszcza płaskorzeźby zaprojektowane przez wybitnego rzeźbiarza Jerzego Jarnuszkiewicza (1919–2005), chronione za szybami, są przedmiotem podziwu, jako przykłady socrealistycznej sztuki zdobniczej w architekturze wnętrza przejścia podziemnego z poziomu ulicy i placu. Dwa ciągi schodów ruchomych produkcji radzieckiej mają zaledwie 30 metrów i przepustowość 10 tys. osób na godzinę. Jest też trzeci ciąg schodów – stałych, a także podziemna bezpłatna toaleta publiczna. Po kilkuletnim postoju (z braku części zamiennych w latach 1997–2005) i generalnym remoncie trzeci ciąg zapewnia winda dla niepełnosprawnych, matek z wózkami i dziećmi oraz rowerzystów. Nowa niemiecka maszynaria schodów wytrzymuje znaczne obciążenie. Osobliwą funkcję pełnią schody w zimie, bowiem pozwalają się ogrzać w obszernym holu. W dolnej i górnej jego części znajdują się gabloty, w których okresowo umieszczane są wystawy plastyczne.

Unikatowy eksponat stanowi często fotografowana tablica z wielopunktowym regulaminem korzystania ze schodów. Jako osobliwa ciekawostka związana z historią tej swoistej atrakcji, umieszczona jest w jednej z ablot na górnym podejściu. W początkowym okresie funkcjonowania schodów trzeba było ze względów bezpieczeństwa wprowadzić regulamin (szczególnie z powodu żywiołowego korzystania z nich, przede wszystkim przez dzieci i młodzież). Wśród zaleceń i ostrzeżeń były np. zakaz wchodzenia na schody boso i osobom nietrzeźwym, siadania na stopniach, wprowadzania rowerów, wielokrotnego jeżdżenia, biegania, palenia papierosów.

Tomasz Kowalik

**X Jubileuszowy Międzynarodowy Rajd Pieszy IVV
w ramach cyklu imprez turystycznych
„Turystyka Łączy Pokolenia”**

LATO
WIOSNA
JESIEŃ
TURYSTYKA ŁĄCZY POKOLENIA
LUBAŃ 2019

**6 kwietnia 2019
„WIOSNA NA ŁUŻYCACH”**

PTTK

**Organizator imprezy:
Oddział Łużycki PTSM w Lubaniu
59-800 Lubań, ul. Łużycka 1
tel. 75 721 6580, kom. 604 927 247
Szczegółowe informacje na:
www.ptsmkluban.poczta.fm/tlp.htm**

Projekt dofinansowany z budżetu
Urzędu Marszałkowskiego Województwa Dolnośląskiego
Powiatu Lubańskiego i Miasta Lubania

Jubileusz Muzeum Pienińskiego

Mija 126 lat idei, 100 lat początków i 60 lat pracy Muzeum Pienińskiego im. Józefa Szalaya. Jeden z trzech najstarszych – z tradycjami od 1893 roku – Oddział Pieniński Towarzystwa Tatrzańskiego, niemal od pierwszych dni swego istnienia, pod wpływem Seweryna Udzieli (1857–1937), badacza folkloru i kultury materialnej górali sądeckich, pienińskich i Łemków, tworzył zbiory obrazujące styl życia codziennego, kulturę materialną i gospodarki mieszkańców dawnej Galicji.

W tradycję polskich organizacji krajoznawczych, w statutach ich działalności badawczej i popularyzatorskiej, wpisane są badania terenowe ludu, tworzenie bibliotek, organizowanie wycieczek, ochrona osobliwości regionalnych, zabytków przeszłości i przyrody, a także kolekcje ubiorów, narzędzi i sprzętów domowych, instrumentów, zapisywanie pieśni i nut muzyki ludowej. Znaczącą rolę odegrały w tej działalności rysunki z natury, a z biegiem lat coraz doskonalsza technika dokumentowania takich prac za pomocą fotografii krajoznawczej.

Ta swoista idea i działalność spotykała się jednak z niedostatkami konsekwencji w badaniach terenowych, nieumiejętnym obchodzeniem się z często nietrwałymi przedmiotami, ze zbiorami wymagającymi specyficznych zabiegów konserwatorskich (np. w przypadku tkanin i ubiorów). Dlatego początkowo idea tworzenia zbiorów nie przybrała form zapewniających powodzenie w przygotowywaniu kolekcji. Jeszcze większe trudności wynikały z braku możliwości przechowywania, magazynowania i pokazywania zbiorów publiczności w nielicznych i po amatorsku działających muzeach.

Mijały lata i dopiero od 1919 r. większą skuteczność miały starania Konstantego Kietlicz-Rayskiego (1866–1924) – pisarza, malarza, entuzjasty kultury góralskiej – i wspierającego jego działania Jana Wiktora (1890–1967) – mieszkającego w Szczawnicy pisarza, autora m.in. opowieści „Pieniny i Ziemia Sądecka”. Jak podaje Barbara A. Węglarz w przewodniku „Muzeum Pienińskie” z 2015 roku: *Dopiero jednak zdecydowane działania górali: Michała Słowika, Stanisława Dominika, Wojciecha Majerczaka, Władysława Malinowskiego i spontaniczna akcja wielu rodów szczawnickich, oddających w darze zabytki doprowadziła do jego powstania.*

Tak doszło do powstania w 1959 roku znanego wielu bywalcom Szczawnicy, Szlachtowej, Jaworek stałej placówki: **Muzeum Pienińskiego im. Józefa Szalaya, Oddziału Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu**. Początkowo siedzibą placówki, czyli miejscem udostępniania coraz bogatszych zbiorów publiczności uzdrowiska i turystom, był sławny stylowy budynek **Dworca Gościnnego** w Szczawnicy. Jego początki, jako budowli reprezentacyjnej w uzdrowisku, mają źródło w 1875 roku, gdy Józef Szalay zainicjował budowę tzw. **Salonu Pienińskiego**, z drewna modrzewiowego, z salami – widowiskową i balową – na kilkaset osób. Po kilku latach, gdy Szczawnica w 1882 roku została własnością krakowskiej Akademii Umiejętności, ten jakby „pałac kultury” stał się od 1884 roku dostępny dla publiczności. Znajdowały się w nim sklepy, sale – koncertowa, bilardowa, czytelnia oraz taras widokowy z kawiarnią. Dworek Gościnny w istocie stał się „pałacem kultury”.

O jego popularności, znaczeniu dla życia kulturalnego Szczawnicy, świadczą zapisane w jego kronice takie osobistości, jak Helena Modrzejewska, Bolesław Prus, Henryk Sienkiewicz, Maria Konopnicka, Kazimierz Przerwa-Tetmajer, podhalański poeta, autor m.in. sławnej pieśni „Krywaniu, Krywaniu wysoki”, zaś fotograf Pienin – Awit Szubert miał tam pracownię i wystawiał swoje krajobrazowe



Muzeum w Szlachtowej

fotografie. Nowy rozdział w tradycjach Dworku rozpoczął hrabia Adam Stadnicki, gdy w 1909 r. zakupił uzdrowisko. W 1948 roku zostało ono upaństwowione, zaś w 1959 roku – czyli 60 lat temu – Dworek stał się siedzibą Muzeum Pienińskiego, niestety na krótko i zbioryomalnie nie przepadły. Do października 1962 roku tętnił życiem, niestety szczyt całkowicie w ogniu gwałtownego pożaru.

O tradycjach tej placówki o ogromnym znaczeniu dla polskiego muzealnictwa i życia kulturalnego całej Sądeckizny rozmawialiśmy z **Barbarą A. Węglarz**. To osoba wielce zasłużona dla



Barbara Węglarz – dyrektorka muzeum

Muzeum, którą wraz z poprzednią dyrektorką – Jolantą Jarocką-Bieniek, latem 2018 roku wyróżniono Odznaką Honorową Województwa Małopolskiego – Krzyżem Małopolskim. Oczywiście, tematem rozmowy z Barbarą A. Węglarz, zapracowaną z powodu postępu prac i przygotowań do obchodów wspomnianych jubileuszy, była nie tylko historia Muzeum, ale przede wszystkim tzw. chwila obecna, czyli zmiany następujące w okresie wspomnianych jubileuszy i nowe fakty, wzbogacające jego możliwości jako placówki kulturalnej, otwartej dla turystów pienińskich i beskidzko-sądeckich. Wypada wspomnieć, że zajmuje rozległy teren z dogodnym podjazdem i parkingiem w Szlachtovej (3 km od centrum Szczawnicy) przy drodze do Jaworek i wąwozu Homole im. Jana Wiktora, na stokach Prehyby, nad płynącym w pobliżu Grajcarkiem, czyli dawniej Ruską Wodą.

Epokowe znaczenie miało przejście w posiadanie, urządzenie i otwarcie nowoczesnej ekspozycji muzealnej 23 sierpnia 2014 roku w budynku dawnej strażnicy Wojsk Ochrony Pogranicza (później Straży Granicznej) w Szlachtovej, przy ul. Lemkowskiej 37, (3 km od centrum Szczawnicy). Strażnica nadzorowała odcinek granicy polsko-słowackiej (z dawnym przejściem kontrolowanym, dziś swobodnym, na przełęczy Rozdziel w masywie najwyższego szczytu Małych – i całych – Pienin, tj. Wysokiej – 1050 m n.p.m.). Autorkami scenariusza urządzenia przestronnych sal i ekspozycji bogatej kolekcji zbiorów były Barbara A. Węglarz, Magdalena Kroh i Maria Marcinowska.

Wspomniane rocznice bogatych, ale też burzliwych losów i – mamy nadzieję – nieodległa przyszłość wzbogacająca rolę i zasoby Muzeum Pienińskiego im. J. Szalaya, to tematy naszej rozmowy z panią dyrektorką pienińskiego Oddziału Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu.

– *W stulecie Muzeum im. Szalaya mają się spełnić plany jego rozbudowy. Proszę wymienić, jakie nowe elementy będą świadczyły o realizacji tych zamierzeń.*

– *Spośród najważniejszych zmian na korzyść działalności Muzeum wymienię powstanie magazynu studyjnego, który zostanie zlokalizowany w drugim budynku stojącym na terenie zajmowanym przez Muzeum. Będzie to nowa forma udostępniania naszych bogatych zbiorów, pomyślana tak, by zwiedzający mogli podczas studyjnych wizyt z bliska zapoznać się z kolekcją muzeum dotychczas niedostępną, zamkniętą w magazynie tradycyjnym. Planujemy, żeby jednocześnie zarówno w magazynie studyjnym, jak i na dotychczasowej ekspozycji wprowadzone zostały nowoczesne techniki sensoryczne, które umożliwią dzieciom i osobom niepełnosprawnym zwiedzanie Muzeum z wykorzystaniem zmysłów nie tylko wzroku, ale też słuchu i węchu. Ponadto, w tym samym budynku znajdzie się również, tak nam potrzebna – sala wystaw zmiennych.*

– *To istotna zmiana wewnątrz, a co nowego powstanie w otoczeniu placówki?*

– *Innym, równolegle prowadzonym projektem będzie sensoryczny plac zabaw usytuowany na zboczach naszej działki. Do dyspozycji dzieci będzie 8 obiektów – jaskinia, wieża i kilka drewnianych domków, w których pobawią się: w kuźni, u stolarza, tkacza, zielarki, flisaka, druciarza. Pomiędzy domkami zostanie poprowadzona sensoryczna ścieżka ułożona z różnych elementów – chodniki z szyszek, igliwia, drewna, kamieni,*

piasku, gliny, liści, trawy. Dzieci stąpając po nich, dotykając podłoża, będą mogły zapoznać się z różnymi jego typami. Znajdą się tam także mostki drewniane, z siatki linowej, ścianki wspinaczkowe i in., dzieci będą mogły wykonać ćwiczenia ruchowe, ćwiczyć równowagę. Na całym terenie placu zabaw będą wprowadzone strefy dotyku, ruchu, dźwięku i zapachu. Zakończymy też poszerzenie parkingu dla wygody odwiedzających Muzeum.

– **O jednej z tych planowanych inwestycji mówi się „skansen” – czy będzie to nowa część ekspozycji muzealnej na wolnym powietrzu?**

– Plany budowy skansenu na razie muszą zostać odłożone na czas przyszły, wciąż liczymy na jego realizację, ale, aby mogło się to stać, muszą zapaść decyzje na wyższym szczeblu.

– **Mało kto wie, że w masywie Jarmuty są mało rozpoznane stare sztolnie, pamiątki po pienińskim górnictwie. Czy i kiedy będą dostępne dla turystów?**

– To moje marzenie, mogłoby ono wejść w fazę realizacji, jeśli miasto Szczawnica we współpracy z Katedrą Geologii Ogólnej i Geoturystyki Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie przystąpiłoby do projektu utworzenia Geoparku Pieniny na obszarze polsko-słowackim. Miałyby powstać wówczas tematyczne ścieżki dydaktyczne, a jedna z nich biegłaby do sztolni jarmuckiej [w masywie góry Jarmuta górującej nad Szczawnicą], tego wyjątkowego zabytku przemysłowemu z początku XVIII wieku, który jeśliby został przystosowany do zwiedzania, mógłby stać się niebywałą atrakcją. Wstępne plany zakładają, że wówczas przy Muzeum Pienińskim zlokalizowano by centrum informacyjne dla Geoparku.

– **W zamierzonym rozwoju Muzeum istotną częścią ma być „odkrywka”, czyli udostępnienie w specjalnym pawilonie zwiedzającym rozpoznanego zabytku z XVI wieku w Jaworkach. Czy taka nowa część Muzeum powstanie w roku jubileuszu?**

– Ma Pan na myśli Castrum Homola – warownię, którą archeolodzy lokalizują w pobliżu wejścia do bram wąwozu i datują na XVI w. Miała ona być związana z rodami Jordanów i Nawojowskich, którzy jako pierwsi mieli pozwolenie królewskie na poszukiwania złota w terenie pasa Małych Pienin. Rekonstrukcja tego obiektu, poprzedzona badaniami archeologicznymi mogłaby powstać również w ramach Geoparku Pieniny.

– **Datę 60. roku jubileuszowego zapewne uświetni wystawa podarowanej Muzeum kolekcji prywatnej znanego historyka Tadeusza M. Trajdosa. Proszę pokrótce opisać jej znaczenie dla kierowanej przez Panią placówki.**

– To niezwykle cenna dla Muzeum darowizna, przeszło 150 obiektów artystycznych: grafiki, oleje, tempery, akwarele autorstwa Mariana Romualda Polaka (1887–1966) – grafika, malarza i rytownika polskich znaczków pocztowych i banknotów – oraz prace jego córki Ewy Polak-Trajdos (1923–1979), m.in. rzeźby ceramiczne i obrazy olejne na desce będące imitacją sztuki cerkiewnej. Oboje artyści związani byli z Sądecczyną, Pieninami i Spiszem.

– **Proszę o informacje o programie obchodów obydwu jubileuszy Muzeum – projektowanego już w 1919, a zrealizowanego w 1959 roku, gdy pierwszą jego siedzibą był (odbudowany niedawno) Dworek Gościnny w Szczawnicy.**

– Termin obchodów uzależniony jest od zakończenia planowanych inwestycji, zapewne, będzie to druga połowa roku 2019. Przewidujemy uroczyste otwarcie ww. obiektów, okolicznościowe wystawy przypominające początki naszego Muzeum, ludzi, którzy je zakładali i tworzyli, pierwsze ekspozyty i ciekawe historie z nimi związane.

* * * * *

Wypada nam dodać kilka zdań o dniu powszednim Muzeum w Szlachtowej, a przede wszystkim o jego położeniu poza centrum uzdrowiska i konieczności dojechania własnym środkiem lokomocji lub za pomocą transportu publicznego. Zdarza się, że dojazd jest dla przybysza kłopotliwy z powodu braku łatwych do znalezienia informacji w centrum Szczawnicy. Cenne zbiory rozmieszczone są w dwóch przestronnych salach, z kolekcjami eksponatów pogrupowanych w kilkunastu strefach, przejrzystości ukazujących przeszłość, sięgającą XIII wieku, kulturę materialną mieszkańców Rusi Szlachtowskiej, Małych Pienin i Szczawnicy jako znakomitego uzdrowiska, rolę rodu Szalayów w jego powstaniu w ciągu kilkudziesięciu lat XIX wieku. Znakiem portret Józefa Szalaya (1802–1876) w stroju paradnym węgierskiego wielmoży jest ozdobą kolekcji historycznej Muzeum Pienińskiego. Kaplica grobowa Szalayów (po odnowieniu popadającej w ruinę budowli) znajduje się poniżej poziomu głównej ulicy w centrum Szczawnicy.

Do najbogatszych zbiorów wypada zaliczyć kolekcje ukazujące gospodarkę pasterską, budownictwo i wnętrza mieszkalne Rusinów i Górali Pienińskich, które mają istotne znaczenie jako kolekcje tradycyjnych barwnych ubiorów, uzupełniające i uświetniające w skali regionu podobne zbiory w innych muzeach

sądeckich. Wiele faktów z historii pienińskiej przypomina ją części ekspozycji ukazujące burzliwe dzieje pogranicza nad Dunajcem, a także kolekcja wspaniałych zdobionych mebli chłopskich i mieszczańskich oraz liczne przedmioty służące leczeniu klimatycznemu i za pomocą szczawnickich wód mineralnych ze źródeł odkrytych w początkach i w trakcie rozwoju polskiej balneologii w XIX i XX wieku. Charakterystyczna dla Szczawnicy była i jest kuracja klimatyczna (świeże górskie powietrze czasem pozostawia wiele do życzenia w wąskiej dolinie Grajcarka), kuracja pitna, czyli spożywanie wód mineralnych,



Fragment wystawy

inhalacje dróg oddechowych i kąpiele, czyli hydroterapia. A żeby się dowiedzieć, jak doszło do tego, że w tym uzdrowisku można poprawić swoje zdrowie, to... trzeba w chwilach wolnych od zabiegów leczniczych i typowych, czasem mało higienicznych, uciech uzdrowiskowych, odwiedzić Muzeum Pienińskie w Szlachtowej.

Zbiory muzealne prowadzą zwiedzającego nad Przełom Dunajca, do pienińskich zamków i warowni w Czorszynie (Wronin) i na Zamkowej Górze na pierwszym planie; oczywiście także na „kultowe” zaledwywane szczyty – Trzy Korony, Okrąglicę, Sokolicę, Czertezik, Wysoką i do Wąwozu Homole; do świątyń – dawnych rusińskich cerkwi w Jaworkach, Szlachtowej, Szczawnicy (z wieloma starożytnymi ikonami, rzezbami sakralnymi, krucyfikami i figurami). Liczne w kolekcji Muzeum są eksponaty ukazujące unicestwioną kulturę żydowską w tym mikroregionie. Warto skorzystać z okazji poznania z bliska urządzenia izby mieszkalnej górali pienińskich, szczegółów haftu na ubiorach, bogatego wnętrza szałas pasterskiego oraz starożytnej dębówki do spływu Dunajcem, a także wyposażenia placówek poprawiania zdrowia w uzdrowisku.

Wiele pamiątek pozostało ze świątyń rusińskich w Jaworkach i Szlachtowej (które obecnie są kościołami rzymskokatolickimi), a więc ikony, obrazy ołtarzowe, figury świętych, feretrony, krucyfiksy. Warto zwrócić też uwagę na bogato zdobione meble z wnętrza mieszczańskich i proste sprzęty z izb górskich. W kolekcji charakterystycznej dla szczawnickiego uzdrowiska znajdują się tzw. znaki szalayowskie, czyli tablice znamionowe świadczące o jakości kwatery gościnnej w chłopskiej chałupie, warunkach pobytu, a zwłaszcza warunkach higienicznych izb mieszkalnych i obejścia. Do nabycia w recepcji Muzeum są reprodukcje miniaturowe tych znaków – „Pod Winogronem n° 1”, „Pod Pomarańczą”, „Pod Aniołkiem”, „Nr 151 Pod Liskiem”, „Pod Sercem n° 1”, „Pod Ułanem”. Szlak znaków szalayowskich jest odtworzony w uzdrowisku jako trasa krajoznawczo-spacerowa.

Przełomowe znaczenie dla roli odnowionego i wzbogaconego w liczne instalacje uzdrowiska miało w 2005 roku przejęcie go przez spadkobierców Adama hrabiego Stadnickiego. Odbudowane i odnowione zostały obiekty zdrojowiska, Dworek Gościnny, pijalnia i rozlewnia wód mineralnych, kawiarnia „Helenka”, freski (ostatnio nazywane muralami!?) zdobiące powierzchnie zabytkowych odnowionych po pożarze budynków w centrum zdroju przy placu twórcy polskiej balneologii – Józefa Dietla (1804–1876), który był też twórcą pierwszego prawnego aktu regulującego status uzdrowiska, tzw. ustawy zdrojowej. A jeśli weźmiemy pod uwagę treść pierwszego z 1811 roku dokumentu o zdrojach wód mineralnych – wtedy w zwyczajnej górskiej wsi w dolinie Grajcarka – Ruskiego Potoku (rzeki?) w Szczawnicy, to historia uzdrowiska powinna liczyć aż 208 lat !!!

Wypada dodać, że elektryfikacja głównej części szczawnickiego uzdrowiska nastąpiła w 1922 roku, nowoczesne inhalatorium powstało w 1936 roku, a kanalizacja komunalna w latach 90. minionego stulecia. Szczawnicki Oddział PTTK kontynuuje tradycje tego pierwszego oddziału TT z 1893 roku. Dlatego na budynku Pienińskiego Ośrodka Kultury Turystyki Górskiej uczyniono zadość tradycjom turystyki pienińskiej

i szczawnicki Oddział PTTK, najstarsza tego rodzaju organizacja, obchodziła 125-lecie swego rodowodu. Tablica z obrazkiem „Pod Kozicą” 28 października 2018 r. zawisła na jego siedzibie opodal schroniska „Orlica”. Zawiesili ją: Stanisław Błażusiak w towarzystwie Marka Misztala – prezesa Oddziału, Ryszarda M. Remiszewskiego – kustosa tej placówki, Jacka Gacka – członka władz oddziału, Janusza Malika oraz Macieja Ogrodowicza – kierownika schroniska „Orlica”.

Tomasz Kowalik

Fot. Ryszard M. Remiszewski

ODDZIAŁ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZEGO W LEGNICY ZAPRASZA DO ZDOBYWANIA ODZNAKI „KORONA KACZAWSKA” R E G U L A M I N

1. Odznaka „Korona Kaczawska” jest odznaką regionalną Oddziału Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Legnicy.

2. Celem ustanowienia odznaki jest popularyzacja turystyki górskiej w rejonie Gór i Pogórza Kaczawskiego, jak również promowanie regionu – poznawanie jego piękna, walorów przyrodniczych i krajoznawczych.

3. Odznaka jest jednostopniowa.

4. Do odznaki zalicza się szczyty zdobywane od dnia 1.03.2019 r., tj. od daty wejścia w życie regulaminu odznaki. Okres zdobywania jest nieograniczony.

5. Odznakę uzyskuje się poprzez zdobycie określonych szczytów (według zamieszczonego wykazu) Gór i Pogórza Kaczawskiego. Kolejność zdobywania szczytów jest dowolna.

6. Podstawą weryfikacji jest książeczka (kronika wycieczki) prowadzona indywidualnie przez zdobywającego odznakę, w której powinny być zawarte podstawowe informacje dot. określonego szczytu – data wycieczki oraz miejsce na potwierdzenie.

7. Potwierdzeniem zdobycia szczytu jest zdjęcie przedstawiające ubiegającego się o odznakę na tle charakterystycznych cech danego szczytu. Ponadto potwierdzeniem może być wpis przewodnika, przodownika turystyki kwalifikowanej lub instruktora krajoznawstwa PTTK.

8. Ubiegający się o odznakę „Korona Kaczawska” po zebraniu potwierdzeń ze wszystkich wskazanych szczytów przedstawia książeczkę (kronikę) do weryfikacji w Oddziale PTTK w Legnicy. Weryfikacja odbywa się nieodpłatnie, a osoba zdobywająca odznakę ponosi ewentualne koszty korespondencji lub przesyłki oraz koszty zakupu odznaki „Korona Kaczawska”.

9. Wszelkie wątpliwości wynikające z interpretacji regulaminu rozstrzyga Komisja Turystyki Pieszej i Górskiej przy Oddziale PTTK w Legnicy. Kontakt, tel. 509 290 499.

10. Regulamin odznaki „Korona Kaczawska” został przyjęty na posiedzeniu Zarządu Oddziału PTTK w Legnicy w dniu 29.01.2019 r. i wchodzi w życie z dniem 1.03.2019 r.

Wykaz szczytów do odznaki „Korona Kaczawska” – po nazwie wysokość w m n.p.m.:

1 Bazaltowa 367	14 Okole 714	27 Turzec 684
2 Czartowska Skała 468	15 Ostrzyca 501	28 Wielisławka 372
3 Czerwony Kamień 325	16 Poręba 671	29 Zawadna 445
4 Dłużek 592	17 Radogost 398	30 Żeleźniak 664
5 Duży Młynik 303	18 Rataj 350	
6 Górzec 445	19 Rosocha 464	
7 Grodziec 389	20 Różanka 628	
8 Krzyżowa k. Podgórek 567	21 Skopiec 724	
9 Lubrza 666	22 Stromiec 551	
10 Łysa Góra 707	23 Swarna 390	
11 Maślak (Folwarczna) 720	24 Szybowcowa 561	
12 Miłek 596	25 Średnia Góra 427	
13 Mszana 475	26 Świątek 330	



Homo electronicus w górach

W historii ewolucji człowieka wyróżniano różne podgatunki *homo*: *homo erectus*, *homo sapiens* (*), *homo ludens*, nawet *homo sovieticus*. Najnowsze czasy przyniosły nowy podgatunek. Jest to **homo electronicus**. Jego symbolem stała się dodatkowa **komórka**, która wzbogaciła ten podgatunek. Niestety, jak wskazują liczne przykłady, w wielu przypadkach ta komórka zastąpiła wiele innych, można powiedzieć takich niepozornych, wręcz **szarych**.

Poprzedni gatunek, czyli *homo sapiens* rozwinął silny instynkt samozachowawczy, ponieważ, jak wiadomo, był (jest?) rozumny. U tego nowego ów instynkt zamiera pod wpływem nowej komórki. Ta komórka wręcz zawładnęła człowiekiem eliminując procesy myślowe przebiegające we wspomnianych komórkach szarych. Pomijając inne dziedziny działalności człowieka, spójrzmy na to, co robi *homo electronicus* w górach. Powszechna stała się wiara, że owa komórka wybawi człowieka przebywającego w górach z wszelkich kłopotów. Powstało przekonanie, że zastąpi stosowne przygotowanie do wędrówki górskiej, właściwy ubiór, odpowiednią kondycję fizyczną, wiedzę o górach, a nawet myślenie. Ponieważ, jak wiemy, wiara czyni cuda, w większości przypadków rzeczywiście owa komórka, zwłaszcza z **aplikacją Ratunek**, przysłużyła się dobrze i przyczyniła do uratowania zdrowia i życia, co w wielu przypadkach graniczyło z cudem. O zainstalowanie tej aplikacji w telefonach apelują ratownicy górscy i na szczęście to działa. Telefony komórkowe już od lat skutecznie przyczyniają się do efektywnego działania GOPR i TOPR, pomagają w naprowadzaniu zagubionych na właściwą drogę, pozwalają na lokalizację zagubionych czy potrzebujących pomocy. Jest niemal pewne, że co najmniej połowa niebezpiecznych sytuacji w górach skończyłaby się śmiercią ich uczestników, gdyby nie telefony komórkowe. Dotyczy to zwłaszcza wydarzeń zimowych. Niefrasobliwość ludzi idących w góry w warunkach wykluczających bezpieczny w nich pobyt osiągnęła niewiarygodne rozmiary. Mam na myśli choćby sytuacje i akcje ratunkowe w polskich górach na przełomie minionego i bieżącego roku.

Jeszcze w grudniu na Babiej Górze mężczyzna z 10-latkami zabłądzili w partiach szczytowych i zeszli z grzbietu na stronę słowacką. Nic to, że niewiele było widać, że padał śnieg i wiał silny wiatr, a temperatura odczuwalna sięgała –4 stopni (wg GOPR). W przeciętnych warunkach przebieg szlaku graniowego jest czytelny, jednak gdy prawie nic nie widać, a turysta nie zna grani NA PAMIĘĆ, to niewiele trzeba, by w rejonie Lodowej Przełęczy, idąc prosto, zejść na Słowację. W tym miejscu grzbiet skręca w prawo (w kierunku Przełęczy Brona) i trzeba wyczuć, jak iść, skoro nic nie widać. Dokoła biel, nie ma mowy o powrocie po własnych śladach, a gdy się zaczyna ściemniać, to marny los turysty. Wymieniona dwójka trafiła do schronu na żółtym szlaku do Słanej Vody. Takich zabłądzeń nie brakuje każdej zimy. W komentarzach pod informacją o tym przypadku znalazłem wypowiedź jakiegoś „specjalisty” twierdzącego, że wyjście zimą z 10-latkami na Babia to łatwizna i w ogóle o co chodzi, w czym problem? Ów „ekspert” albo nie doczytał w informacji, jakie warunki panowały na górze, albo jest zwyczajnym ignorantem.

Trudno przejść obojętnie obok informacji o „turystce” z **dwuletnim dzieckiem** na jednym z ramion Wielkiej Raczy po słowackiej stronie. Opad śniegu, mgła i silny wiatr wyczerpały ją, a ratownicy HZS zwieźli do kolejki linowej. Podobne sytuacje miały miejsce na Pilsku, między Pilskiem a Rysianką (narciarze turowi) i w masywie Śnieżnika. **Ratownicy na miejscu zastali rodziców bez latarek z dziećmi w wieku 6 i 12 lat ubranymi w getry, sukienki oraz niskie buty** (Wyborcza.pl, Wrocław). Było to konkretnie na Małym Śnieżniku, gdzie trudno o jakiegokolwiek punkty orientacyjne. Tam można się zgubić nawet latem, gdy mgła na 10 m, a co dopiero zimą. Pod Pilskiem i pod Turbaczem udzielano pomocy zagubionym biegaczom górskim. Można zadać pytanie: co kieruje ludźmi decydującymi się na trening biegowy przy pokrywie śnieżnej sięgającej ponad metr? W rejonie Jaworzyny Kamienickiej w Gorcach ratowano samotnego turystę, który opadł z sił i stracił orientację. Przebijał się przez niemal metrowy śnieg z Ochotnicy Górnej. Pomogła **aplikacja Ratunek**.

Jak kiepski żart brzmi komentarz zamieszczony przez kogoś na Facebooku Grupy Podhalańskiej GOPR: *nie oceniajcie tak surowo tych turystów w Gorcach, to niewysokie góry, mało kto zdaje sobie sprawę, jak zmieniły się warunki (...), zwłaszcza jak ktoś mieszka w Krakowie, gdzie trawa przebija spod śniegu*. Naprawdę marna to argumentacja i tłumaczenie w dobie telefonów komórkowych i Internetu. **By zorientować**

się w warunkach w górach, wystarczy kilkanaście sekund i zajrzenie do sieci, gdzie nie brak bieżącego podglądu z kamer. Poza tym we wszystkich serwisach informacyjnych wszystkich stacji TV codziennie przekazywane były wiadomości z gór o stanie śniegu, zagrożeniach, sytuacji lawinowej, dostępności i przejezdności dróg, itp. Bieżące informacje i ostrzeżenia można znaleźć na stronach TOPR i GOPR, przecież niemal każdy ma dostęp do Internetu w telefonie! Czy tak trudno wyciągnąć z tych informacji właściwe wnioski?

Góry jeszcze raz pokazały (te niewysokie), że dobre wyposażenie nie wystarcza, by przejść jakiś szlak. Przekonali się o tym turyści, którzy zamierzali dojść z Krościenka do stacji turystycznej na Studzionkach. Mieli zatem do przejścia cały masyw Lubania, a czas przejścia wspomnianego odcinka to 7 godzin LATEM BEZ ODPOCZYNKÓW. W warunkach, jakie były wtedy w Gorcach, należało ten czas pomnożyć przez trzy, co daje 21 godzin. To teoria, bo przy torowaniu drogi w śniegu po pas sił starcza ledwo na kilka godzin. Na szczęście turyści skontaktowali się z GOPR i czekali na pomoc w wiacie bazy namiotowej na Lubaniu. Warto dodać, że skutery śnieżne ratowników ugrzęzły w głębokim śniegu i goprowcy dotarli do oczekujących na nartach turowych. Także w Beskidzie Sądeckim miały miejsce podobne sytuacje między Cyrlą a Halą Łabowską i w rejonie Przehyby. Ratowano turystów, którzy opadli z sił po wielogodzinnym przebijaniu się przez głęboki śnieg i nie byli w stanie o własnych siłach dotrzeć do schronisk idąc od rana do wieczora. Akcje poszukiwawczo-ratunkowe kończyły się głęboką nocą. Ratownicy poruszali się na „turach” lub na raketach śnieżnych, skutery i quady grzęzły w śniegu. Wszystkich „przebili” dwaj miłośnicy przygód, którzy wyruszyli z Lubomierza (Przełęcz Przysłop – Rzeki, szlak żółty) w kierunku Jasienia i Mogielicy (tak podają źródła) o godzinie 19! Dokąd chcieli dojść? Latem do Pólrzeczek, dokąd się w końcu skierowali, jest 3,5 godz., na Mogielicę (tylko po co?) nieco ponad 4 godz. Zimą, w warunkach umożliwiających przejście, czas mnożymy przez 2. W warunkach tegorocznej zimy wspomniane szlaki są po prostu nie do przejścia i tyle. Ratownicy dotarli do nich o 3.30 w nocy, a o godz. 7 rano wszyscy dotarli na dół. Turyści byli mokrzy, osłabieni i przemarznięci, czekali na pomoc w spiworach. To była ich jedyna rozsądna decyzja. Nawiasem mówiąc, jedyne miejsca w tym rejonie, gdzie można czekać na pomoc mając poczucie bezpieczeństwa, to wiata na Przełęczy pod Małym Krzystonowem, wiata w bazie na Polanie Wały i szałas przy szlaku do Pólrzeczek.

W jednym z licznych wywiadów, jakich udzielali przedstawicielom stacji TV ratownicy górcy, jeden z nich – dając podstawowe rady dotyczące bezpiecznego wyjścia w góry – odniósł się do posiadania i użycia telefonu komórkowego, a brzmiało to mniej więcej tak: ***Pamiętajmy, że elektronika MOŻE ZAWIEŚĆ, to tylko urządzenie – może się zepsuć, może wyczerpać się bateria, może nie być zasięgu. Trzeba mieć zwykłą mapę i rozważyć warunki panujące w górach.*** Jak się okazuje, z tym rozważaniem i właściwą oceną warunków nadal jest kiepsko. Coraz częściej ratownicy wspominają o posiadaniu mapy, a bierze się to stąd, że coraz więcej osób wychodzi w góry bez mapy, licząc na oznakowanie szlaków i mapę w komórce. To za mało. Mało kto bierze pod uwagę, że często znaki są niewidoczne na pniach drzew zalepionych śniegiem, co przy zapadającym zmierzchu gwarantuje duże kłopoty. O znakach na kamieniach nie ma co marzyć. Gruba warstwa śniegu sięgająca 1, 1,5, a nawet 3 m zacierza rzeźbę terenu, eliminuje znane z lata punkty orientacyjne. Przy widoczności 10 m i zadymce nawet tyczki ustawione na szlakach niewiele pomogą. A w Karkonoszach *ludzie wychodzą w góry nieprzygotowani. W adidasach i bez raków pchają po śniegu wózek dziecięcy, bo latem tak weszli na Śnieżkę (**).* Nie rozumiem, że zimą w górach warunki są zupełnie inne – mówi Sławomir Czubak, naczelnik grupy karkonoskiej GOPR. (Wyborcza.pl, Wrocław)

Istotnym zagrożeniem były masy śniegu w Tatrach, na Babiej, w Karkonoszach i w Bieszczadach. Ogłoszono 3. i 4. stopień zagrożenia. Nawet w masywie Śnieżnika i na Pilsku ogłoszono zagrożenie lawinowe, gdzie lokalnie mogły wystąpić zsuwy i małe lawiny.

Innym problemem jest ignorancja i lekceważenie ostrzeżeń GOPR



kierowanych bezpośrednio do turystów. Wyruszyli w góry mimo stanowczych słów ratowników odradzających wyjście. Tak było z turystami na szlaku z Jordanowa do Hali Krupowej. Najpierw „olali” ratowników, potem wzywali ich na pomoc.

W większości przypadków ratownicy znajdowali poszkodowanych, którzy byli w niezłym stanie, co najwyżej lekko wychłodzeni (I stopień hipotermii), jednak były także cięższe przypadki. Pomijam śmierć z przyczyn naturalnych na Rycerzowej, czy jazdę „po pijaku” na tzw. jabłuszkach. Fakt, że osoby uratowane przez GOPR były w dość dobrym stanie mimo bardzo ciężkich warunków terenowych i pogodowych, to faktycznie efekt dobrego przygotowania, a raczej wyposażenia w odpowiednią odzież. I to jest w tym wszystkim jedyny plus. Sprawdza się **aplikacja Ratunek**, co miało decydujące znaczenia w omawianych przypadkach. Jednak nie radzę sprawdzać tego na własnej skórze. Jak wspomniano, to tylko elektronika – może zawieść.

Powoli kończy się zimowy sezon, choć to dopiero marzec. Na wielu szlakach leżą powalone na początku stycznia drzewa, które padły pod naporem śniegu i wiatru. To dodatkowe utrudnienie dla turystów. Trzeba się liczyć z tym, że nadal czasy przejścia niektórych odcinków będą dalekie od tych przewodnikowych – podanych na mapach. Pamiętajmy – to są czasy letnie, bez odpoczynków.

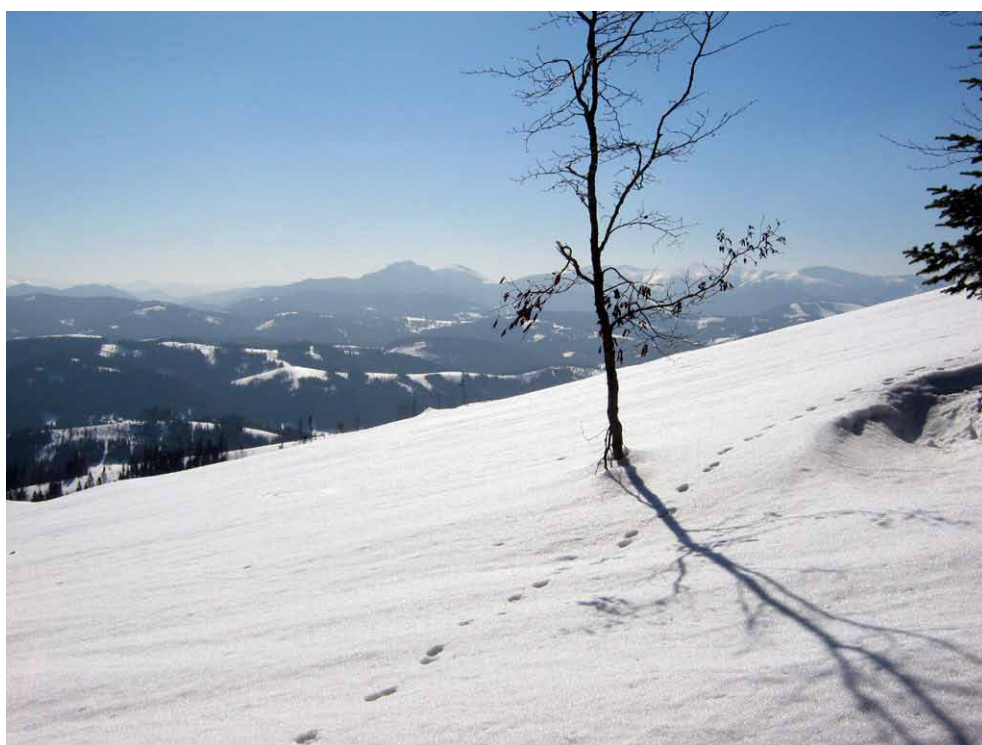
Przytoczone wyżej sytuacje nie służą straszeniu. Nie o to chodzi. Ich liczba zadziwia, ratownicy niemal nie schodzili z gór, przerzucani z jednego masywu w drugi. Bywało, że podczas jednej akcji dostawali informację o kolejnym potrzebującym pomocy, co wymuszało przegrupowania sił i sprzętu. Wydaje się, że turyści zupełnie nie brali pod uwagę warunków panujących w górach, wielu tłumaczyło, że **warunki ich zaskoczyły**. Tymczasem w górach jest „trochę inaczej” niż na Krupówkach czy na deptaku w Szklarskiej lub Karpaczu.

Na końcu powinna być pointa. I jest. To wspaniale, że prawie wszyscy mają telefony komórkowe z dostępem do Internetu. To dobrze, że instalują aplikację Ratunek, ale byłoby jeszcze lepiej, gdyby najpierw używali tych telefonów do sprawdzenia warunków w górach, prognozy pogody i komunikatów GOPR i TOPR, i nie musieli korzystać ze wspomnianej aplikacji.

Juliusz Wysłouch

(*) *Homo sapiens*, to nie jest „człowiek sapiący” tylko **rozumny**.

(**) Gdyby nie zamieniono naturalnych ścieżek w brukowane równą kostką deptaki, nikt by nie pchał się w góry z wózkiem dziecięcym. Podziękujmy KPN.



Cienie światła w Den Helder

Miejsce przymusza do zatrzymania się. Gdy patrzyłem na pomnik, miałem wrażenie, że intensywne słońce i jego promienie potęgują doznania. Okazało się, że są w kalkulowane przez twórcę w efekt pomnika.

Stałem przed monumentalną rzeźbą z brązu, na cztery metry wysoką i podobnie szeroką, składającą się z czterech filarów, zwieńczonych trzema stojącymi sylwetkami w łodzi na falującym morzu. Na pamiątkowej tablicy napisano: *Schaduw en van Licht*, czyli cienie światła, co również można tłumaczyć jako odcienie światła.

Cała rzeźba jest symbolem, metaforą. W założeniu lekko zakrzywiona, tworzy część koła życia, cztery filary oznaczają żywioły: ziemię, wodę, powietrze i ogień. Trzy sylwetki u góry symbolizują zmarłych i pustkę powstałą po ich odejściu, a falujące morze oznacza fale emocji. Trzy sylwetki przedstawiają Świętą Trójcę. Liczby cztery i trzy mają znaczenie, wskazują na niebo i ziemię, a także na życie i śmierć.

Rzeźba w promieniach słońca rzuca cień na ziemię, tym samym jakby i na życie tych, którzy utracili bliskie sobie osoby. W cieniu znajdują się ludzkie sylwetki, przez które światło nadal prześwituje. Harmonijna metafora, co za przekaz artystki!

Niezwykły pomnik znajduje się na placu przed Marinemuseum Królewskiej Marynarki Wojennej Holandii w Den Helder, upamiętnia żołnierzy, w tym komandosów Morskich Sił Zbrojnych i personel cywilny,



poległych podczas ostatniej wojny światowej. Plac w Den Helder, zwany Oude Rijkswerf Willemsoord, to miejsce historyczne upamiętniające wizytę lustracyjną w 1811 r. Napoleona Bonaparte, z którego to rozkazu zbudowano w tym miejscu wojskową bazę morską Holandii.

Projektantką pomnika jest artystka Caroline van't Hoff-Hörcher, która mówi o sobie, że maluje rzeźbiąc i rzeźbi malując. Jest absolwentką Akademii Sztuk Wizualnych w Amersfoort. Rzeźby w brązie mają charakter figuralny. Artystka uważa, że brąz to materiał, który pod wpływem ognia i ciepła w procesie topienia nadaje rzeźbie

mocny, wyrazisty rys. Poza rzeźbieniem maluje, a jej obrazy mają charakter zbliżony do rzeźb, poza tym są niebywale kolorowe, nawet egzotyczne. Krytycy doszukują się w nich wpływu Karaibów i mają rację, bo artystka od lat związana jest z wyspą Arubą, gdzie lubi przebywać i pracować.

Pomnik odsłonięto 20 maja 2009 r., a Królewska Marynarka Wojenna (Koninklijke Marine) każdego roku – na placu i pod pomnikiem – upamiętnia wszystkich, którzy zginęli na służbie, zarówno wojskowych, jak i z formacji cywilnych.

Cienie nie pozwalają na obojętność, przeciwnie – skłaniają do zastanowienia, kontemplacji. Wspominam o niezwyklej rzeźbie ku uwadze, gdyby wakacyjne ścieżki powiodły kiedyś na holenderskie nadbrzeża Morza Północnego.

Ryszard M. Remiszewski



Uszguli: adres na końcu drogi

Wczesnym rankiem wsiadamy w Mestii do niewielkiego busa. Celem naszej wycieczki jest tytułowe Uszguli – bodaj najbardziej typowa dla Górnej Swanecji wieś z zachowanymi jeszcze do tej pory licznymi przykładami archaicznego budownictwa Swanów. Tam droga jezdną się kończy – dalej prowadzą tylko końskie ścieżki! Ruszamy w górę doliny Mulchry, w kierunku Żabeszi, jednak wkrótce odbijamy w prawo i ponad zabudowaniami wioski Szwabiani serpentynami wznosimy się na przełęcz Ugwiri (1923 m). Na moment rozwiewają się chmury wiszące nad głównym grzbieciem Kaukazu i w całej swej krasie ukazuje się nam wreszcie dwuwierzchołkowa Uszba (4710 m). *Jej widok zadziwia, oszałamia, przeraża i zachwyca. Ponad dwa kilometry pionowych niedostępnych skał z różowych granitów i gnejsów! Ponad dwa kilometry urwiska nad zielonym kobiercem łąk i nad skrzącymi się lodowcami! Spróbujcie sobie to wyobrazić. Ale nie, nie potraficie, jeśli nie widzieliście Uszby.* (A. Kuzniecowa, „A w dole Swanecja”).

Na samej przełęczy w kierunku wschodnim odgałęzia się wąski „asfalcik” do ośrodka narciarskiego Tetnuldi. Jego budowę rozpoczęto „z przytupem” w 2013 r., jeszcze za prezydentury G. Saakaszwilego. Wkrótce jednak Saakaszwili przestał być prezydentem i z ośrodka, którego wyciągi miały sięgnąć na stokach Tetnuldi (4858 m) wysokości 3913 m, pozostało kilka kanap (maks. 3165 m) z niezbyt bogatą infrastrukturą. Zabrakło pieniędzy nie tylko na sam ośrodek, ale zwłaszcza na wymagającą ogromnych nakładów budowę nowej, bezpiecznej zimą drogi z Zugdidi do Mestii. A bez niej mało kto zechce się tu wybrać!

Szalony zjazd do doliny Inguri po chwili staje się jeszcze bardziej szalony: porządna betonowa nawierzchnia kończy się, następny odcinek dopiero jest w budowie! Manewrując między spychaczami i wywrotkami nasz busik zjeżdża do niewielkiej osady Bogreszi, której zabudowania widoczne są po drugiej stronie głębokiego jaru rzeki.

Najbardziej charakterystyczne elementy zabudowy swaneckich wiosek to wysokie, czworoboczne wieże, wznoszone z kamieni. Zwieńczone są zwykle izbicą z machikułami i kryte dachami z dranic lub czarnego łupku. Mają nieliczne, wąskie okienka w formie strzelnic i sięgają nieraz wysokości 20 m. Budowano je od XI lub XII w. Z reguły w każdej zagrodzie była jedna, czasem i dwie. Przypominają znane wieże mieszkalne z Bolonii. Po co taka obronna architektura w miejscu praktycznie niedostępnym dla wrogów? A po to samo, co w Bolonii. Bo Swanowie – jak Kargulowie z „Samych swoich” – mieli zawsze „swoich” wrogów! Pisał Szymon Wdowiak („Swanecja. Kraina za górami” w: „Poznaj Świat” nr 2/1966): *Wróg z zewnątrz groźny był (...) tylko przez trzy miesiące lata. Przez cały rok natomiast trzeba było być przygotowanym na krwawą napad nieprzyjaciela zza miedzy. Zemsta rodowa była w Swanecji równie okrutna jak na Sycylii vendetta. Była tak samo krwawa. Nie знаła kompromisów – śmierć rozwiązaniem jedynym. Za obrazę, za gwałt, za zabójstwo. Ratunkiem były naturalnie obronne, kamienne domostwa i przylegające do nich wieże: ukrywano się w nich po wiele miesięcy, a bywało, że i kilka lat! Tutaj jedną z takich wież, stojącą na skalnym występie nad brzegiem rzeki, udostępniono do zwiedzania. Drewnianymi drabinami wspinamy się na kolejne piętra, obserwując szczegółowo konstrukcyjne budowli.*



**Droga do Uszguli. Nie widać?
A jednak przejechaliśmy!**

Wreszcie Uszguli (ok. 2200 m n.p.m.), które jest podobno najwyższą położoną wsią w Europie! Ona również składa się z kilku osiedli: Czażaszi, Mukrmeli, Czwibiani, Żibiani. Tu dopiero, klucząc wąskimi, kamienistymi uliczkami, możemy dokładnie zapoznać się z tutejszą tradycją budowlaną. Swanecki dom był – jak pisał Kuzniecowa – *(...) przede wszystkim kamieniny: budowany był tak, aby nie można go było podpalić. (...) Środkowe piętro – maczuba – było kiedyś pomieszczeniem zimowym. Wielka komnata, prawie sala z jednym wąskim otworem strzelniczym zamiast okna. (...) Wzdłuż trzech ścian odgrodzone są pomieszczenia dla bydła. Wyglądają jak łóżka teatralne, z których wychylały się nie melomani, lecz rogate głowy krów i byków. Każda taka łóżka zaopatrzone jest w zaokrąglone u góry okno z drewnianą rzeźbą. Otwory połączone są jednolitą ścianą, również rzeźbioną. Łóżka posiadają niekiedy jeszcze półpiętro. Wtedy górne otwory są mniejsze i z nich wyglądają pyski owiec. (...) Wzdłuż czwartej ściany przechodzi podobna rzeźbiona przegroda, tu mieszczą się szafy z półkami na naczynia i produkty. Pośrodku sali pali się ognisko (...) nad nim zawieszona dla zabezpieczenia przed pożarem wielka kamienna płyta, przeważnie z łupku. (...) Obok paleniska ustawiona jest na trójnogu (...) druga, nieco mniejsza łupkowa płyta. Na niej piecze się placki. (...) Letnie pomieszczenie – darbaz – położone jest nad maczubem. Zimą jest to szopa na siano. Darbaz łączy się z maczubem niewielkim zamykanym otworem, przez który na podłogę maczuba zrzuca się siano dla bydła. (...) Na lato przenoszono z maczuba do darbazu część mebli i tam mieszkano.*



Uszguli z daleka...



...i z bliska!

Najniższą kondygnację swaneckiego domostwa zajmowała piwnica, a raczej loszek bez okien, w którym zwykle znajdował się wielki, wypalany z gliny zbiornik na wodę. To w nim oraz w wieży chroniono się w czasie oblężenia, a także przetrzymywano wziętych do niewoli członków wrogiego klanu. Podobno zwyczaj wykradania ludzi był dawniej u Swanów na porządku dziennym, istniały nawet ustalone taryfy ich wykupu!

Dziś już oczywiście nie zobaczymy wewnątrz funkcjonujących w opisany sposób (a tym bardziej wspomnianych loszków!...). Ba! Widząc stan wielu – zastraszająco wielu! – budynków zastanawiamy się, czy np. za 20 lat będzie tu jeszcze po co przyjeżdżać? Póki co omijamy wypoczywające na środku „ulicy” stadko prosiaków i kierujemy się w górę, tam, gdzie na lokalnym spiętrzeniu stoku, na tle potężnego skalistego grzebienia Szchary (5203 m), chowającego się dziś za zasłoną chmur, wznosi się niewielka cerkiewka otoczona murem.

Ta XII-wieczna budowla poświęcona jest Łamarii (dziś, pod naporem angielskiej pisowni – „Lamarii”). Łamaria była jednym z mniej ważnych bóstw w swaneckim panteonie, patronką urodzaju zbóż, mleczności bydła, macierzyństwa i różnych prac kobiecych. Z czasem, w miarę utrwalania się wśród Swanów chrześcijaństwa (a nie było to aż tak dawno!), zaczęto ją utożsamiać z Najświętszą Marią Panną i dziś jej imię jest tu powszechnie stosowanym odpowiednikiem „Matki Boskiej”.



Łamaria

Cały „kompleks” obejmuje dom mieszkalny (zamieszkały!) z wieżą obronną, cerkiewkę i „dzwonniczkę” (trzy dzwony zawieszone na poziomej belce...), otoczone murem obronnym. Przez niskie wejście dostajemy się do wnętrza tak małego, że rzeczywiście mogło wystarczyć tylko na potrzeby jednej rodziny. Próbuje sobie wyobrazić te 800 czy 900 lat jego historii: toż to praktycznie rówieśniczka krypty św. Leonarda na Wawelu! Schodząc niespiesznie z powrotem na przełaj przez pastwiska, poprzetykane błękitnymi kępami goryczek, mijamy kolejne cerkiewki, celujące w nas ciemnymi szparami wąziutkich okien-strzelnic. Pewnie niewiele młodsze od Łamarii, są jedynymi śladami po dawno już nieistniejących rodowych siedzibach...

Wracając do Mestii widzimy zniżający się do lądowania niewielki, turbośmigłowy samolot. Tak, tak! Jest tu i lotnisko, niestety – niskiej kategorii. Pas ma krótki, a starty i lądowania mogą się odbywać jedynie w dzień (brak oświetlenia na pasie) i przy dobrej widoczności. Ono nie rozwiąże problemów komunikacyjnych miasteczka!

Ruszamy jeszcze na spacer po Mestii, w której również wznosi się wiele kamiennych wież. Jedną z nich, niedaleko rynku, także można zwiedzać. Uwagę zwraca okazała budowla po drugiej stronie rzeki, mieszcząca Muzeum Historyczno-Etnograficzne. Jego ekspozycje przedstawiają historię i kulturę Swanów od IX w. po czasy współczesne. W górnej części Mestii koniecznie trzeba zobaczyć niewielkie muzeum poświęcone Micheilowi Chergianiemu (1932–1969), najwybitniejszemu swaneckiemu alpinistcie. To on kierował zespołem, który w 1964 r.



Ikonostas Łamarii!

zdobył Uszbę wysoką na 1300 m ścianą północno-wschodnią, drogą przez „Lustro” – i to jemu A. Kuzniecowa poświęcił swą książkę „A w dole Swanecja”. Chergiani zginął podczas wspinaczki na 800-metrowej ścianie

Cima su Alto we włoskich Dolomitach, ale pochowany jest w rodzinnej Mestii, na niewielkim cmentarzu koło cerkwi Džgrag.

Godłem Swanecji jest złoty lew. Miała go wręczyć Swanom sama bogini Łamaria. Inna legenda mówi, że lwa wyszyła złotą nicią na brokacie na przełomie XII i XIII w. królowa Tamara. Mieszkańcy Mestii chcieli uhonorować swoją wielką królową i jej imię nadali wspomnianemu portowi lotniczemu. Zamówili też jej pomnik, który stanął na centralnym placu miasteczka i miał być artystycznym akcentem na tle wznoszonych wokół budowli. Na wykończenie całości parę lat temu zabrakło funduszy i na szybach okien wielu niezagospodarowanych pomieszczeń do dziś straszą fabryczne naklejki. A pomnik? Niekonwencjonalne dzieło Waży Melikiszwilego budzi spore kontrowersje. Bo czyż godzi się, by królowej, zwanej *królem królów* i *królową królowych*, i w dodatku świętej, wiatr tak pod kieckę dmuchał?!!

Mirosław J. Barański



„Nadęta” królowa Tamara w Mestii



XIX Międzynarodowy Rajd Pieszy IVV

„Łużyckie Wędrówki”

w ramach turystycznej imprezy

„3 Dni - 3 Kraje - 3 Wędrówki”

odbędzie się w dniu 26.04.2019r.




Organizator imprezy:
 Oddział Łużycki PTSM w Lubaniu
 59-800 Luban, ul. Łużycka 1
 tel. 75 721 6580, kom. 604 927 247
 szczegółowe informacje na stronie:
www.ptsmluban.vipserv.org/menu3dni.htm





Dofinansowano z budżetu Starostwa Powiatowego w Lubaniu
 Urzędu Miasta Luban oraz Urzędu Marszałkowskiego Województwa Dolnośląskiego

Karwaty Cztery zapraszają do Skierniewic

Są miejsca w naszym kraju tak obfitujące w różnorakie atrakcje – przyrodnicze, kulturowe, architektoniczne i inne jeszcze – że nigdy tego nie podejrzewalibyśmy, ot, choćby z racji ich położenia. No bo na zdrowy rozum, czego można oczekiwać od regionu położonego w centralnej Polsce między dwoma wielkimi, uprzemysłowionymi, tętniącymi rozbuchaną cywilizacją miastami. A tu niespodzianka – enklawy ciszy, wspaniała przyroda, nieprzeciętnej urody zabytki architektury, kultury i sztuki, niezwykle dzieła umysłów i rąk ludzkich. Nie będę dłużej trwał w tajemnicy – nasza krajoznawcza, w bardzo miłym, kameralnym składzie, rodzina zawitała tym razem do Bolimowskiego Parku Krajobrazowego i miejscowości położonych na jego obrzeżach.

Położony między Skierniewicami, Nieborowem, Bolimowem i Żyrardowem piękny kompleks lasów będących pozostałością historycznych puszczy, które jakimś dziwnym zrządzeniem się tu ostały, urzekł nas od pierwszej chwili i ostatecznie. Ledwo zakwaterowaliśmy się w ośrodku „Grabskie Sioło” w Budach Grabskich nad Rawką, dołączyła do nas Pani Kinga Nowak, specjalistka ds. edukacji w Parku. Parę chwil wystarczyło, by upewnić się, jak kompetentną, pełną wiedzy i pasji jest miłośniczką przyrody, zwłaszcza tej chronionej w Bolimowskim Parku Krajobrazowym. Zaraz po powitaniu wyjaśniła nam etymologię nazwy miejscowości, w której zamieszkaliśmy. Budy – bo tak zwano ziemianki dla wyrębników lasu (tak ich nazwała), a Grabskie – bo dominował tugarb. Prowadząc nas swoimi ścieżkami wzdłuż Rawki, a właściwie jej starorzecza, opowiadała o mieszkańcach tej prawie przez człowieka nietkniętej krainy. Dużo dowiedzieliśmy się o bobrze, jego wyglądzie i zwyczajach (wiemy już, co to np. strój bobrowy), zobaczyliśmy też efekty jego działalności. Widząc powalone, że tak się wyrażę, zagryzione drzewa uznaliśmy, że od bobrzych zębów należy trzymać się jak najdalej. Tereny te zamieszkuje duża populacja wydr, co nie jest w kraju tak powszechne, prawie wszystkie gatunki płazów i gadów, no, może z wyjątkiem tych górskich. Mieszka tu też rzeszorek rzeczek (kto o takim słyszał!), mały gryzoń, o dziwo, jadowity. Jego jadowitość polega na tym, że wydziela ślinę, która obezwładnia upolowane owady, uspokoiliśmy się więc, widząc, że dla nas nie jest groźny. Ciekawa była opowieść o minogu strumieniowym, do dziś nie wiem, czy to ryba, czy co? Ale zapamiętaliśmy, że minogi żyją tylko w czystych wodach. Więc ucieszyliśmy się, że są jeszcze w naszym kraju czyste wody.

Pani Kinga mogłaby długo snuć opowieści o swojej ukochanej krainie. Na koniec wycieczki po rezerwacie Rawki opowiedziała o ogromnych kompleksach leśnych, które porastały tę ziemię nawet jeszcze w XVI i XVII wieku. Oprócz Puszczy Bolimowskiej rosły tu jeszcze potężne Puszcza Jaktorowska i Puszcza Korabiewska. Były to puszcze królewskie, tu dawni możnowładcy polowali, tu ukrywali się powstańcy w XIX wieku i partyzanci w czasie II wojny światowej. Dla nas kontakt z taką przyrodą był wspaniałym przeżyciem, spotęgowanym pięknym przekazem Pani Kingi. Przypomnieliśmy też sobie nasz niedawny pobyt w Puszczy Kampinoskiej. Przecież te dwie puszcze leżą tak niedaleko siebie, obie w tak niekorzystnych uwarunkowaniach cywilizacyjnych, ale obie trwają! My jesteśmy pewni, że one przetrwają dzięki takim wspaniałym ludziom, jak Pani Kinga z Bolimowskiego Parku Krajobrazowego i Pan Mariusz z Kampinoskiego Parku Narodowego. Oni nie są jedyni, ale ich akurat znamy. Tacy miłośnicy i zarazem obrońcy przyrody niosą nadzieję, że my, również miłośnicy przyrody, będziemy wciąż cieszyć nasze oczy i serca widokami dziewiczej przyrody w położonych zaledwie kilka kilometrów od całkiem sporego miasta rezerwatach Rawka, Kopanicha czy Ruda-Chlebacz.

A to całkiem spore miasto, to oczywiście Skierniewice, godne uwagi, choć na pewno bardziej od przyrodników będą tu usatysfakcjonowani miłośnicy architektury i innych twórców cywilizacji. W ciągu kilku godzin poznaliśmy, niestety tylko pobieżnie, wiele ciekawych miejsc i zabytków. Te kilka godzin utwierdziło nas w przekonaniu, że Skierniewice to ciekawe miasto z bogatą historią, zamieszkałe przez ludzi, którzy o swoje miasto dbają, którym leży na sercu zachowanie historycznego i kulturowego dziedzictwa.

Naszą wycieczkę po Skierniewicach rozpoczęliśmy nad Zalewem Zadębie i już tutaj mogliśmy zobaczyć, jak miasto urządza sobie tereny wypoczynkowe. Przez Skierniewice przeszliśmy praktycznie z jednego krańca na drugi (no, trochę przesadziłem), napotykając po drodze wiele atrakcji. Tylko wymienię znajdujące się na Trasie Sakralnej: kościół pw. św. Jakuba, dawny cmentarz ewangelicko-augsburski, „stary” i „nowy” cmentarz

żydowski, kościół pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Nie pominęliśmy Pałacu Prymasowskiego, otoczonego przez pięknie zaaranżowany na wzór francuski park, leżący nad całkiem sporą (niestety, dość nieczystą) rzeczką Łupią – Skierniewką. Dowiedzieliśmy się, że prymasi pełnili tu funkcję głowy państwa w okresie bezkrólewia, a wręcz ze zdumieniem przyjęliśmy informację, że ostatnim prymasem rezydującym w Skierniewicach był... Ignacy Krasicki. Na dłużej zatrzymaliśmy się w Izbie Historii Skierniewic, usytuowanej w zadbanym drewnianym budynku z drugiej połowy XVIII wieku. Wystawa ukazuje dzieje miasta, pamiątki po znanych ludziach, także obiekty etnograficzne. Na ścianie budynku umocowana jest tablica – napis

głosi, że tu spędziła ostatnie 10 lat swojego ciekawego życia śpiewaczka Konstancja Gładkowska, muza Fryderyka Chopina. Wkrótce poznaliśmy też innych wspaniałych ludzi związanych ze Skierniewicami. Na Rynku mogliśmy usiąść na ławeczce obok Profesora Szczepana Pieniążka – ojca polskiego sadownictwa (zwłaszcza tego „jabłkowego”), na zawsze kojarzonego ze Skierniewicami. A na peronie zabytkowego, pięknie odrestaurowanego dworca kolejowego, można przywitać się z bardzo znanym w Polsce i na stałe właśnie ze Skierniewicami kojarzonym Stanisławem Wokulskim, który tu chciał zakończyć swoje życie, w czym skutecznie przeszkodził mu dróżnik, niejaki Wysocki – „na kolei nie wolno pod maszynę”. Z tej historii faktem jest, że przez Skierniewice prowadziła pierwsza w Polsce Droga Żelazna Warszawsko-Wiedeńska. Także faktem jest, że Bolesław Prus tu umieścił tragiczne momenty z życia bohatera swej powieści. Ale też faktem jest, że postać Wokulskiego przyjęła rysy znanego aktora Jerzego Kamasa, jest całkiem realna i nie wielkości lalki, a całkiem dorosłego mężczyzny. Jak to nieraz fikcja literacka przeplata się z rzeczywistością!



Profesorze, dałeś nam owoc bogów – jabłko, zostawiłeś – serce



Chwila zadumy ze Stanisławem Wokulskim

A z dworca już niedaleko do starej parowozowni, zbudowanej na planie wachlarza. Wraz z powstającymi sukcesywnie budynkami była przez prawie półtora wieku miejscem remontowania parowozów i wagonów. Dziś wymagania współczesnego kolejnictwa są zupełnie inne, parowozownia nie sprostała im i zaczęła podupadać. I podupadłaby całkowicie, gdyby nie pasjonaci z Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Kolei, którzy uratowali ten zabytek techniki, tworząc w nim muzeum. Budynki stopniowo są odnawiane, restauruje się stare parowozy i wagony wszelkiego przeznaczenia. O tym niezwykłym i trwającym wciąż procesie ratowania starego kolejnictwa przed ostatecznym zapomnieniem opowiadał nam chyba pierwszy kolejarz Rzeczypospolitej,

wieloletni motorniczy, który na parowozach zjechał całą Polskę i szmat Europy – Józef Kaźmierczak. Podziwiamy jego pasję, upór niezwykle w tym dziele ratowania i wiedzę ogromną. Tak sobie myślę, że o każdej śrubce i nakrętce mógłby snuć godzinną opowieść. Z ludzi na zawsze kojarzonych ze Skierniewicami zapadły w mą pamięć trzy postaci – Profesor Szczepan Pieniążek, już nieżyjący, Stanisław Wokulski – choć tak prawdziwy, to tylko literacki i Pan Józef, z krwi i kości entuzjasta, który dla Skierniewic już zrobił więcej, niż całe pokolenia tak zwanych działaczy!

Niedziela – na naszych spotkaniach zawsze pierwsza i ostatnia zarazem – była przeznaczona na zwiedzanie Nieborowa i Arkadii. Miał to być gwóźdź programu i był, choć pogoda sprawiła psikusa. Ranek przywitał nas deszczem, co tego lata nie zdarzało się tak często. Na szczęście, gdy padało, zwiedzaliśmy niezwykle wnętrza nieborowskiego pałacu, a Arkadia była już słoneczna, praktycznie więc „uszło nam na sucho”.

Siedziba Radziwiłłów w Nieborowie i oddalony o 4 km park romantyczny w Arkadii znane są chyba wszystkim, nie będę więc uprawiał „przewodnictwa”, za to opowiem o naszych wrażeniach i przemyśleniach z pobytu w tych miejscach niezwykłych. Urzekły nas bardzo wnętrza, a właściwie ogromna kolekcja obrazów, rzeźb, mebli. Michał Hieronim Radziwiłł naprawdę znał się na sztuce i szczęściem jest dla nas, że miał pieniądze. Kolekcja uchowała się mimo wielu historycznych zawirowań i późniejszych zmian właścicieli. Więc dane jest nam przeżywać np. chwile, gdy Wokulski zakłada spółkę do handlu ze Wschodem, stojąc na tle dwóch globusów należących ongiś do samego Ludwika XVIII. Pałac w Nieborowie służy od dawna filmowcom, którzy kręcą tu, ile się da. A kręcili tu zdjęcia do kilkudziesięciu filmów, wykorzystując nie tylko wnętrza, ale i niezwykle urody park w stylu francuskim. Tu, pod najstarszym w Polsce platanem, Roman Wilhelmi i Wojciech Pokora jako Dyzma i Żorż prowadzili swoje przeżabawne dialogi.

Żoną Michała Hieronima była Helena z Przeddzieckich – to jej nasze i wcześniejsze, i te po nas pokolenia zawdzięczają bodaj najniezwyklejszą i najpiękniejszą perłę w spuściźnie po magnackich czasach – Arkadię. Helena Radziwiłł była kobietą nieprzeciętną, wszechstronnie utalentowaną, kolekcjonerką sztuki, a przede wszystkim osobą o niezwyklej wrażliwości. Cieszymy się, że tacy ludzie byli zamożni i chcieli swoje bogactwo wykorzystać w taki sposób, by potomni mogli znaleźć spokój i ukojenie w miejscu romantycznym, skłaniającym do refleksji i zadumy. Na tych ponad 14 ha jest tyle budowli antycznych, ruin, pomników... No właśnie, cały ten park, w zamyśle antyczny, będący tak znamienitym wytworem ludzkiego umysłu, jest jednym wielkim pomnikiem księżnej Heleny. Na pewno znała pieśni Horacego, w tym tę bodaj najbardziej nieśmiertelną, w której czytamy: *Exegi monumentum aere perennius* (wzniosłem pomnik trwalszy od spiżu).

Do tej krainy – przeniesionej tu jakby z innej czasoprzestrzeni – zaprosili nas przyjaciele ze Skierniewic, Ewa i Paweł. W organizacji pomagały im, no bo przecież nie przeszkadzały, dwie córeczki Ola i Małgosia. I to są właśnie nasze kochane cztery Karwaty (Karwat to nazwisko), którym za Arkadię najbardziej jesteśmy wdzięczni. A z Arkadii – krainy szczęśliwości – wyjeżdża się... jak sosna rozdartym (dużo tych odniesień do literatury). Odpowiadam tylko za siebie (choć czuję, że wszyscy tak myślimy), więc mówię – wyjeżdżam z Arkadii szczęśliwy, że to cudo zobaczyłem, i nieszczęśliwy, że muszę je opuścić. Jedna mnie myśl pociesza – na pewno tu wrócę!



Pierwszy Kolejarz RP, Józef Kaźmierczak i my

Sławomir Chojnacki

Zemowe Wandre 2019

Okolice Wieżycy i Szwedzkiej Góry były w lutym terenem działania turystów-narciarzy podczas **V Ogólnopolskiego Rajdu Narciarskiego „Zemowe Wandre”** (fonetycznie – bez kaszubskich znaków). Sporo ponad 20 osób przybyło do Dworku pod Wieżycą koło Szymbarku, by w ciągu czterech dni przemierzać na nartach drogi, ścieżki i bezdroża na Wzgórzach Szymbarskich. Kulminacją jest oczywiście Wieżycza (328,6 m n.p.m.) wieńcząca północną część Wzgórz; nad południową częścią dominuje Szwedzka Góra (315 m n.p.m.). Oprócz wymienionych wyróżnia się jeszcze kilka wzniesień sięgających 220–280 m n.p.m. – Łysa Góra, Gęsia Góra, Zamkowa Góra i inne.

Program Rajdu przewidywał podział (zresztą elastyczny) na trzy grupy uczestników biorących udział każdego dnia w trzech oddzielnych wycieczkach. Były to trasy rekreacyjne, czyli „romantyczne”, turystyczne – „wyrypiaste” i „szkoleniowe”. „Romantyczne” z założenia miały nie przekraczać 10–15 km, „wyrypiaste” to 15–25 km, a „szkoleniowe” zakładały naukę przydatnych technik biegowych na nartach śladowych. Można było realizować własne indywidualne trasy i pomysły w terenie. Chętni mogli zdobywać punkty do NON i nabywać kwalifikacje na uprawnienia ITN oraz weryfikować punktację do Oznak Narciarskich.

Narciarskim wędrownikom sprzyjały całkiem dobre warunki śniegowe, zwłaszcza w wyższych partiach Wzgórz. W głęboko wciętych zaciętych dolinkach utrzymywała się stabilna warstwa śniegu pozwalająca na wygodne i bezpieczne poruszanie się na nartach. Śniegu nie brakowało też na polnych drogach i polach, z wyjątkiem niewielu miejsc, gdzie opierało południowe słońce. Wszyscy uczestnicy w różnych składach osobowych weszli na Wieżycę i wędrowali w okolicach Szwedzkiej Góry opasanej bardzo dogodnymi dla narciarstwa śladowego drogami. Nie brakło zatem niewielkich podejść i długich zjazdów. Szkolenie w zakresie doskonalenia technik narciarskich odbywało się na polanach z równą pokrywą śnieżną i na łagodnym stoku między naszą bazą a Kłobuczynem. Właśnie Kłobuczyno, a wcześniej Szymbark, to miejscowości, które odwiedziliśmy podczas wycieczek.



Dworek pod Wieżycą – przed wyjściem na trasy



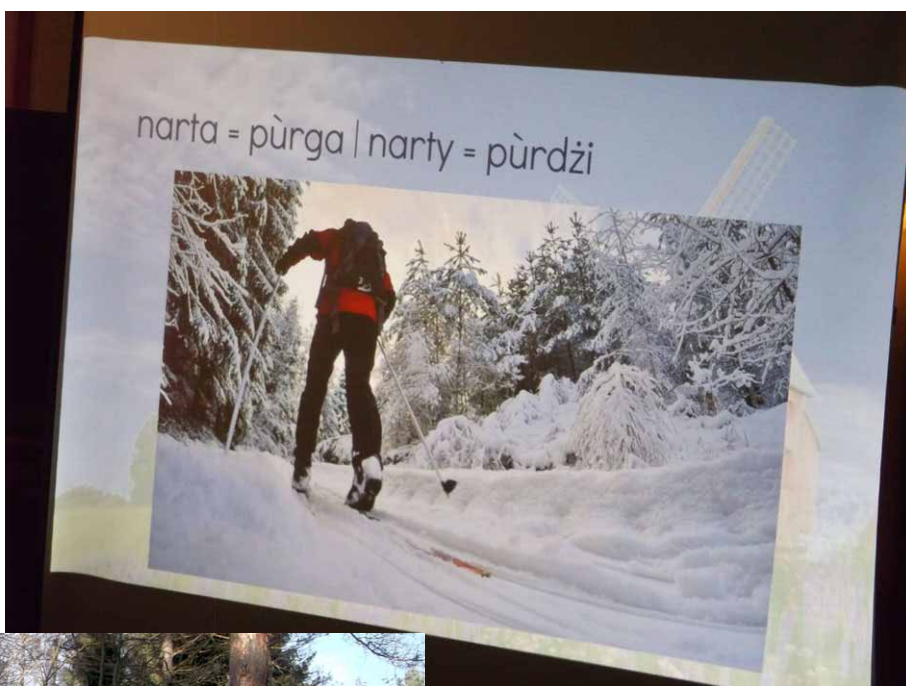
W kierunku Wieżycy

Choć operowaliśmy na stosunkowo niewielkim obszarze, to doskonała znajomość skomplikowanego terenu przez przewodników pozwoliła na przebycie od 8- do 16-kilometrowych tras. Co prawda korzystaliśmy w części ze znakowanego szlaku czarnego bezpośrednio prowadzącego na wierzchołek Wierzycy, ale to tylko niewielki fragment jednej z tras. Wieczorami spotykaliśmy się w dworcowym „lobby” (wg hotelowej nomenklatury), gdzie oglądaliśmy zdjęcia i filmy z poprzednich „Wandrów”. Gościem Rajdu był Piotr Kowalewski (po kaszubsku Pioter Kowalewsczi) – przyrodnik, krajoznawca i autor przewodnika po trasie rowerowej Szlakiem Hutniczym (chodzi o liczne huty szkła na terenie Środkowych Kaszub). Posiłkując się licznymi ilustracjami niezwykle zajmująco i ciekawie opowiedział nam o historii, geologii, ludziach, języku i osobliwościach Kaszub.

„Zemowe Wandre”, Szymbark, 6–10 lutego 2019 r. Organizatorzy: Klub Turystów Pieszych „Bąbelki” z Gdańska, Narciarski Klub Turystyczny „Szuraczek” z Kościerzyny, Pomorska Komisja Turystyki Narciarskiej PTTK, Starostwo Powiatowe w Kartuzach i Gminny Ośrodek Kultury w Somoninie. Patronat:



Na Wierzycy



O nartach po kaszubsku



Komisja Turystyki Narciarskiej ZG PTTK. Trasy i szkolenia prowadzili: Ryszard Bechter – komendant, Ryszard Ceszak i Ryszard Gerszewski (Przewodniczący KTN ZG PTTK). Można śmiało powiedzieć, że był to „Rajd trzech Ryszardów”.

Juliusz Wysłouch

W „szyku torowym”

Otwarcie nowych wystaw czasowych w Jagniątkowie

W piątek 21 stycznia 2019 roku w Muzeum Miejskim „Dom Gerharta Hauptmanna” zostały otwarte dwie kolejne wystawy czasowe.

Pierwsza, „500 lat rodziny von Hochberg na Zamku Książ”, to prezentowana już od pewnego czasu wystawa, uzupełniona i rozbudowana o nowe eksponaty. Zostały na niej przedstawione fotografie z kuchni, kuźni, stadniny koni i biblioteki. Wykonane przez pracującego na zamku kucharza przebyły długą drogę. Najpierw dotarły za ocean, by tam przeleżeć długie lata w zapomnieniu. Dopiero niedawno zostały przypomniane i są sukcesywnie udostępniane publiczności.

Dodam, że celowo nie podaję nazwiska fotografa, by zachęcić do odwiedzenia Muzeum i zapoznania się z tą niezwykłą historią.

Wystawie tej towarzyszyła prelekcja Janusza Skowrońskiego (dyrektora Muzeum Miejskiego) pt. „Bukowińczycy na Zamku Książ podczas II wojny światowej – historia nieznana”. Jest to nie tylko mało znana, ale także bardzo tajemnicza historia przesiedleńcza. Otóż zaraz po wybuchu II wojny światowej, 7 października 1939 roku, Hitler podjął kroki zmierzające do „uregulowania” spraw ludności niemieckiej zamieszkającej za granicą. Chodziło o sprowadzenie do Rzeszy ludności niemieckiej nieposiadającej obywatelstwa niemieckiego. Dekret Hitlera rozpoczął akcję wysiedleńczo-kolonizacyjną pod nazwą *Heim ins Reich* („Powrót do Rzeszy”). Chodziło w nim o Niemców mieszkających w krajach nadbałtyckich, Rosji i Rumunii. I tu właśnie zaczyna się historia bohaterów opowiadania Janusza Skowrońskiego. Północna część Rumunii to Bukowina. Początkowo była to kraina leżąca na południowo-zachodnich kresach Rzeczypospolitej. W roku 1774, w związku z zajęciem tych terenów przez Austrię, Bukowinę wcielono do Galicji. Jednak już w roku 1849 odłączono ją od Galicji tworząc odrębny kraj koronny z własnym rządem. Taki stan trwał do końca I wojny światowej. Wtedy to, na mocy traktatu wersalskiego, Bukowina wraz z Besarabią została przyznana Rumunom. Krainę tę zamieszkiwali Polacy, Rumuni, Słowacy, Niemcy i Ukraińcy. W roku 1940 wojska sowieckie zajęły te tereny włączając je do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Nie wdając się w dalsze szczegóły: na mocy podpisanych umów na szczeblu państwowym, zezwolono na dobrowolne przesiedlenia ludności m.in. z rejonu Bukowiny. Oczywiście chodziło o wyjazd do Rzeszy. Zgodnie z zawartymi porozumieniami, dzieci do lat 14 mogły wyjechać mając zgodę rodziców, natomiast osoby starsze wyjeżdżały wyrażając taką wolę. Należało się spieszyć, ponieważ na całą akcję przeznaczono tylko trzy miesiące. W rezultacie rejon ten opuściło wiele tysięcy osób. Głównym motywem wyjazdu był fakt, że pozostających czekała wywózka na Sybir. Trzeba wiedzieć, że pośród wyjeżdżających było wiele małżeństw mieszanych. Na terenie Rzeszy (w tym na Dolnym Śląsku) zorganizowano około 900 obozów, w których przybyli znajdowali miejsce czasowego zamieszkania.

Janusz Skowroński dotarł do kilku rodzin, które skorzystały ze wspomnianej akcji przesiedleńczej. Spiisał ich opowieści, ale także uzupełnił je o zupełnie nieznane fakty. Przede wszystkim zaprosił niektóre z tych osób, by wraz z nim odwiedziły miejsca dawnych obozów. Było to znakomite posunięcie, gdyż większość z uczestników tych podróży przypominała sobie szczegóły swojego pobytu. Odnajdywano m.in. wpisy w księgach parafialnych, bo trzeba wiedzieć, że ci ludzie nie tylko przebywali tutaj jako przesiedleńcy – oni przecież żyli, zakładali rodziny, rodziły im się dzieci, w końcu umierali.

Pierwszym miejscem ich pobytu, które odwiedził



Janusz Skowroński, był Krzeszów, gdzie czasowo zamieniono klasztor na obóz. Kolejnym był Zamek Książ. I właśnie z tym drugim miejscem wiąże się wiele tajemniczych faktów, nieznanych do dzisiaj. Dopiero wizyta Janusza wraz z Bukowińczykami pozwoliła na ponowne spojrzenie na tamte czasy. I właśnie te wszystkie pozyskane wówczas informacje Janusz Skowroński zawarł w książce „Bukowina ocalona od zapomnienia”. Dodam, że współautorami tej pozycji są także Jan Bujak, Wojciech J. Kukła i Cecylia Kazimierczak.



Druga wystawa otwarta tego dnia, „Wielka Wojna w cieniu Karkonoszy” jest poświęcona niemieckim i polskim miejscom pamięci w regionie jeleniogórskim. Dotyczy ona przede wszystkim pomników stawianych niemal w każdej miejscowości regionu, upamiętniających mieszkańców tych ziem poległych podczas I wojny światowej. Siłą rzeczy, po II wojnie światowej pomniki te często były przerabiane i wykorzystywane przez obecnych mieszkańców do upamiętnienia strasznych czasów kolejnej wojny. W wielu zatem przypadkach pomniki niemieckie były zamieniane na pomniki dziękczynne odsłaniane przez różne organizacje.

Twórcy wystawy, Ivo Łaborewicz i Marek Szajda, po jej otwarciu wygłosili prelekcję, podczas której pokazali wiele takich pomników i opowiedzieli ich historię.

Dodam tylko, że ekspozycja „Wielka Wojna w cieniu Karkonoszy” została przekazana do muzeum w Jagniątkowie z siedziby Związku Gmin Karkonoskich w Bukowcu, gdzie była pokazana po raz pierwszy. Tam też odbyła się debata o polsko-niemieckiej pamięci w kontekście 100-lecia zakończenia I wojny światowej. Na spotkaniu w Bukowcu, jako uzupełnienie tematu, została przedstawiona publikacja „Wielka Wojna (1914–1918) w cieniu Karkonoszy”. Pozycja ta została wydana przez Towarzystwo Przyjaciół Jeleniej Góry, a wydrukowana w Regionalnej Pracowni Krajoznawczej Karkonoszy, działającej na mocy porozumienia zawartego pomiędzy Związkiem Gmin Karkonoskich a Oddziałem PTTK „Sudety Zachodnie”.

Krzysztof Tęcza

Wspomnienia Sybiraczki

10 luty, godzina piąta rano,

‘Wstawaj, adiewajsa, tak jest napisano.’

NKWD – okrutni saldaci

‘Wsiadać do sań, nowa ojczyzna za wszystko zapłaci.’

– tymi słowami Anna Buchowiecka z domu Parys wspominała tragedię sprzed prawie 80 lat. Poza cytowanym wierszem „Sybir”, na uroczystym otwarciu wystawy pn. „Wspomnienia Sybiraczki”, autorka zaprezentowała również swoją biografię oraz wiersze „Jesień”, „Moja Ojczyzna”, „Muzyka młodych”, „Na cześć Świętego Jana Pawła II” i „Wiosna”. Wydarzenie miało miejsce w „Gościńcu na Starówce” w Kowarach 13.02.2019 roku. W otwarciu ekspozycji uczestniczyło kilkadziesiąt osób.

Na wystawie, która została zorganizowana dzięki uprzejmości pani Danuty Piepiory, można obejrzeć fotografie z albumu rodzinnego A. Buchowieckiej oraz rękopisy wspomnień i utworów poetyckich autorki.

– *Są to wiersze wybrane, napisane w latach 80. XX wieku i później. Wiersz na cześć Świętego Jana Pawła II został napisany po śmierci Ojca Świętego* – mówi A. Buchowiecka.

Na zdjęciach widać małą Anię z rodzicami i rodzeństwem, uczestników półkolonii zorganizowanej w 1938 roku w Eleonorówce, dzieci przystępujące w 1946 roku do I Komunii Świętej w Kościele Erazma

i Pankracego w Jeleniej Górze czy **śp. Zygmunta Parysa – brata autorki, który na Syberii został powołany do Armii Andersa i odznaczony po bitwie pod Monte Cassino. Zmarł na emigracji.**

– Urodziłam się w dniu 19.06.1932 roku w Eleonorówce na Podolu (powiat Skalat, województwo tarnopolskie). Miałam bardzo krótkie dzieciństwo z rodzicami Stanisławem i Marią Parys, ale byłam bardzo szczęśliwa. W dniu 10.02.1940 roku zostałam z rodziną wywieziona na Sybir. Miejscowość znana – Archangielsk. Po podpisaniu umowy przez gen. Andersa wydano zezwolenie na przewiezienie Polaków do Kazachstanu. Brat Zygmunt został powołany do tej armii, a Edward, mój najstarszy brat – nie, gdyż w tym czasie chorował na tyfus. W czasie tej strasznej, niezapomnianej podróży umarł z głodu, na marach, mój ojciec. Został wyrzucony z wagonu w Achtiubińsku. Podróż ta trwała siedem tygodni. W wagonie było 100 osób, a do Kazachstanu dojechało tylko 48. Przydzielono nas do kołchozu im. Kirowa. Przeżyłam tam głód i choroby – malarię oraz koklusz – kaszel, który atakował w nocy. Była straszliwa bieda. Na czwarty dzień po przyjeździe umarł mój brat Władysław. Jestem wzruszona tymi wspomnieniami. W Kazachstanie przebywaliśmy cztery lata. Do ojczyzny wróciliśmy 19 czerwca 1946 roku. Byliśmy w PURze (Polski

Urząd Repatriacyjny) i nam przydzielono mieszkanie w Łomnicy. Do szkoły podstawowej w tej miejscowości uczęszczałam trzy lata. Potem ukończyłam średnią szkołę, tzw. małą maturę. Pracę podjęłam w JZPE Myślakowice Porcelana. Potem przeniesiono mnie do Kowar do zakładu, gdzie produkowano również porcelanę techniczną. W roku 1957 wyszłam za mąż za Leonarda Buchowieckiego. Urodziłam dwóch synów – Pawła i Grzegorza. Doszły nowe obowiązki – wychowanie dzieci i praca. Moje wykształcenie było za małe na tym stanowisku, więc musiałam ukończyć pełne średnie. W roku 1970 ukończyłam 5-letnie technikum ekonomiczne w Jeleniej Górze, uzyskując wykształcenie średnie. W tym zakładzie pracowałam do roku 1982. Obecnie jestem na emeryturze – wspomina A. Buchowiecka.

– 29 lat pracowałam w Związku Sybiraków jako skarbnik – mówi pani Anna. – Za swoją pracę otrzymałam wiele wyróżnień i odznaczeń, m.in. od Prezydenta RP. **Mój kochany tatuś – śp. Stanisław Parys walczył u boku Józefa Piłsudskiego jako kawalerzysta przez 11 lat. Niestety nie mam już zdjęcia, na którym mój tato jest w mundurze i obok niego stoi dwóch żołnierzy. Przez to NKWD uznało nas za wrogów i zesłało na Sybir.** Wywozili też lekarzy, duchownych, bogatych i wojskowych.

Fot. Zbigniew Norbert Piepiora



Fot. Zbigniew Norbert Piepiora



– Umiem mówić i pisać po rosyjsku i trochę po kazachsku – dodaje A. Buchowiecka.

Otwarcie wystawy sprowokowało do dyskusji, w której uczestniczyli mieszkańcy Kowar i rodzina pani Anny. Przypominano czasy, kiedy na lekcjach historii nie można było rozmawiać o tragedii Sybiraków ani czytać „Ballady zesłańców”.

Wystawę „Wspomnienia Sybiraczki” można oglądać za darmo w „Gościńcu na Starówce” przy ul. 1-go Maja 23 w Kowarach do końca kwietnia 2019 roku. Jest czynna od poniedziałku do soboty w godzinach 12⁰⁰–18⁰⁰.

Zbigniew Norbert Piepiora

Wystawa fotografii Piotra Krzaczkowskiego

We wtorek 29 stycznia 2019 roku goście odwiedzający Muzeum Sportu i Turystyki w Karpaczu mieli okazję podziwiać fotografie Piotra Krzaczkowskiego. Może nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, wszak wystawy fotograficzne są dosyć popularne w dzisiejszych czasach, jednak tym razem wystawa ta od razu zyskała rangę wyjątkowej.

W zasadzie wszystko sprowadza się do dwóch aspektów. Pierwszy, to miejsce pracy Piotra Krzaczkowskiego. Od ćwierć wieku wędruje on na Śnieżkę, w lecie przeważnie pieszo, zimą z reguły na nartach. Pan Piotr pracuje bowiem w obserwatorium Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej im. Tadeusza Hołdysa, które znajduje się w jednym ze spodków zbudowanych na najwyższym szczycie Karkonoszy, a zarazem całych Sudetów. Nic więc dziwnego, że przebywając tam doświadcza niesamowitych widoków czy zjawisk atmosferycznych. Przecież o określonych porach musi wyjść na zewnątrz, by dokonać stosownych odczytów. Oczywiście w obserwatorium pracuje więcej osób i prawie każda z nich zajmuje się fotografią. Pomyśleć zatem można, że fotografie Piotra, to kolejne tego typu ujęcia. I tu właśnie każdy, kto tak pomyśli, myli się. Bardzo się myli, ponieważ drugą ważną sprawą jest umiejętność obserwacji, umiejętność wyboru zarówno chwili, jak i obiektu. Piotr posiada zmysł nie wszyskim dostępny i dlatego jego fotografie tak bardzo nas urzekają. Bo właśnie odpowiednie spojrzenie i przedstawienie widzianych zjawisk atmosferycznych czy krajobrazów uwypukla szczegóły, których przeciętny obserwator nie dostrzega.

Oczywiście aby dojść do takiego poziomu fotografii, jaki prezentuje Piotr, trzeba mieć dużą wiedzę, zarówno o samej fotografii, jak i o sprzęcie fotograficznym. Trzeba wiedzieć, kiedy można użyć konkretnych obiektywów, jakie dobrać parametry naświetlenia itp., bo mimo posiadania superaparatów, dobra fotografia wymaga także myślenia.

Każdy, kto chodzi po górach, doskonale wie, że uchwycenie ciekawego efektu nie jest takie proste. Często o jakości fotografii decydują chwile. Gdy zobaczy się jakieś ciekawe zjawisko atmosferyczne, trzeba reagować niemal natychmiast, bo za chwilę już nie będzie po co otwierać aparatu. Piotr jako znawca takich zjawisk ma ułatwione zadanie, gdyż doskonale wie, czy dane zjawisko będzie trwało chwilę, czy trochę dłużej. Poza tym wie, jak takie zjawisko powstaje i dlatego wie na co zwrócić uwagę podczas jego utrwalania.

Góry zawsze dostarczają ciekawych przeżyć i stwarzają warunki do wykonania pięknych fotografii. Dla nas, mieszkańców Kotliny Jeleniogórskiej, najpiękniejsze widoki zapewniają Karkonosze. Zwłaszcza w okre-

sie zimy, kiedy to wszystko pokrywa się śniegiem czy szadzią. Kiedy wiatr doprowadza do powstawania fantazyjnych kształtów niespotykanych na co dzień. Dlatego każdy z nas posiada w swoich archiwach wiele ciekawych i pięknych fotografii. Jednak zachęcam wszystkich, by odwiedzić Muzeum w Karpaczu i zobaczyć fotografie mistrza. Zatrzymane na nich piękno zachwyci każdego.

Krzysztof Tęcza



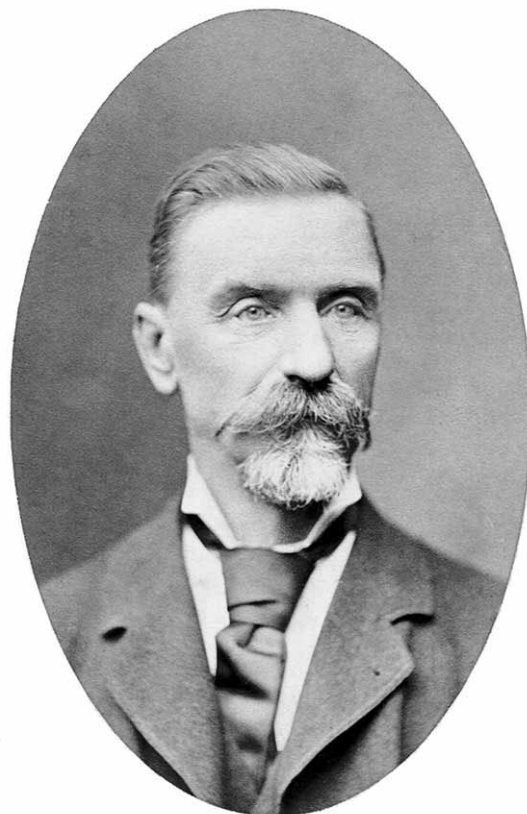
Wiktor Godlewski

Wiktor Ignacy urodził się w wielodzietnej rodzinie szlacheckiej Aleksandra i Anny Godlewskich 30 grudnia 1831 r. w Bogutach koło Ciechanowca. Ojciec był właścicielem majątku ziemskiego. Wcześniej osierocony przez ojca młody Wiktor ukończył gimnazjum w Łomży i rozpoczął pracę w majątku Brulino-Koski koło Czyżewa u stryjecznego brata Józefa Godlewskiego, a później administrował innymi okolicznymi majątkami na pograniczu Mazowsza i Podlasia. Zajął się myślistwem i kolekcjonowaniem okazów ptaków. Nawiązał kontakt z Władysławem Taczanowskim, kierownikiem gabinetu zoologicznego Szkoły Głównej Warszawskiej (właśnie powstała w 1861r.) i na rzecz szkoły zaczął przekazywać swoje wypchane ptaki.

Zaangażował się w działalność rewolucyjną, za co po upadku powstania 1863 r. został skazany przez sąd wojskowy na 12 lat katorgi. W lutym 1864 r. przybył do Irkucka i stąd skierowano go do kopalni w Pietrowsku Zabajkalskim koło Ułan-Ude. Dzięki staraniom Benedykta Dybowskiego Wiktor Godlewski znalazł się z nim w zabajkalskiej wsi Siwiakowo koło Czyty, następnie w Darasunie, gdzie skazańcy budowali uzdrowisko z wodami szczawiowo-żelazistymi. Tu Godlewski, jak i Dybowski, otrzymał zgodę na posiadanie broni palnej, dzięki czemu mógł się zająć polowaniem i pozyskiwaniem okazów ptaków. Obydwaj zesłańcy wędrowali po pobliskich Stepach Agińskich i Górach Ałchanajskich, i podczas gdy Dybowski leczył ludzi, Godlewski tropił zwierzynę i polował. Niebawem mógł wysłać Władysławowi Taczanowskiemu do Warszawy 500 ptasich *sukni* ze 150 gatunków. Opisy tego zbioru Taczanowski wykorzystał w artykule opublikowanym w czasopiśmie ornitologicznym w Berlinie. Godlewski zaraził się wścieklizną od swojego wyżła, z którym polował, ale Dybowski zdołał go skutecznie wyleczyć przypalaniem, maściami i chininą.

Gdy Dybowski zdobył zezwolenie na zamieszkanie w Kułtuku nad Bajkałem, przeniósł się tam w 1867 r. wraz z Godlewskim. Rozpoczęli razem badania fauny Bajkału, w czym niebawem wsparł ich Aleksander Czekanowski. Badali jezioro głównie zimą, z lodu, mierząc jego głębokość i rozdział temperatur w warstwach wody. Znaleźli największą głębię Bajkału, niewiele się myląc w stosunku do późniejszych pomiarów. Badali faunę jeziora, sporządzali rysunki ryb. Na brzegu jeziora zbierali zioła lecznicze. Prowadzili obserwacje meteorologiczne.

Od lipca 1869 r. przez pół roku Godlewski z Dybowskim i jeszcze dwoma polskimi zesłańcami uczestniczyli w ekspedycji, wspieranej przez Imperatorskie Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne,



Wiktor Godlewski w 1890 r.



badającej faunę Kraju Amurskiego, Ussuryjskiego i Nadmorskiego na Dalekim Wschodzie. Z wyprawy tej Godlewski przywiózł wiele skór zwierząt, w tym rosomaka, który był postrachem miejscowej ludności. W 1870 r. Godlewski został uhonorowany złotym medalem nadanym przez Syberyjski Oddział IRTG. W 1871 r. uczestniczył w wyprawie, wraz z Dybowskim i Czekanowskim, do jeziora Chubsugoł na pograniczu z Mongolią. W latach 1872–1875 Godlewski z Dybowskim i zesłańcem Michałem Jankowskim zorganizowali wyprawę badawczą na Daleki Wschód wspieraną przez IRTG. Łodzią „Nadzieja” płynęli pod biało-czerwonym proporcem rzeką Argunią, a następnie Amurem. Na postojach prowadzili badania przyrodnicze. Godlewski upolował wiele rzadkich zwierząt, np. białego lisa i plamistego jelenia, ustrzelił 5 tygrysów. Znad Cieśniny Tatarskiej i Morza Japońskiego zesłańcy wrócili nad Bajkał. Kontynuowali tu badania fauny znad Angary.



Godlewski i Dybowski byli współautorami 10 prac naukowych dotyczących Bajkału i Syberii Wschodniej, opublikowanych przez Syberyjski Oddział IRTG.

Godlewski powrócił do Polski latem 1877 r. Zatrudnił się jako administrator majątku ziemskiego. Uskładał dość pieniędzy, w 1890 r. kupił majątek Smolechy pod Ostrowią Mazowiecką. Zasadził zagajnik składający się z drzew tajgi, to jest z limb syberyjskich, jodeł, modrzewi i brzoź oraz różnych krzewów z nasion przywiezionych ze Wschodu. Hodował pszczoły. Nadal kolekcjonował okazy ptaków. Jeździł do Warszawy do Taczanowskiego, w jego gabinecie zoologicznym opowiadał o faunie syberyjskiej. Działał społecznie w wielu organizacjach: w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim, Towarzystwie Dobroczynności, Towarzystwie Pożyczkowo-Oszczędnościowym w Ostrowi Mazowieckiej.

W swym majątku Smolechy zachorował na tyfus. Zmarł 17 listopada 1900 r. Pochowano go na miejscowym cmentarzu parafialnym. Po jego śmierci Benedykt Dybowski wspominał: *Zdobycie każdego nowego gatunku dla fauny wschodniej Syberii, a tem samem i dla gabinetu warszawskiego, zbadanie każdego nowego szczegółu biologicznego, stanowiły epoki w naszym życiu ówczesnem, a żaden z tych faktów nie może być pomysłany bez uczestnictwa w nim Wiktora Godlewskiego.*

Feliks Zienkowicz, kilkanaście lat mieszkający w Irkucku, taką wydał charakterystykę Godlewskiemu w tygodniku „Wszechświat” z 2 grudnia 1900 r.: *Godlewski nieodstępnym był towarzyszem Dybowskiego, prawą jego ręką: wierną, pewną, niezmordowaną i zręczną nad wyraz wszelki. Słusznego wzrostu, krzepkiej budowy, żelaznego zdrowia, niezmordowanej wytrzymałości na wszelkie trudy i niewygody, potężnej siły, a zarażem wielkiej zręczności w pracy wszelkiej, do wszystkiego się nadawał, wszystko potrafił wykonać. [...]*

Nazwisko Godlewskiego utrwalono w nazwach syberyjskich ptaków, ryb, mięczaków i wieloszczetów.

Na jego rodzinnej ziemi w Bogutach-Piankach mieszkańcy w 2008 r. na wielkim głazie umieścili napis: *Pamięci Wiktora Godlewskiego, 1831–1900, Powstańca Styczniowego, zesłańca Sybiru, przyrodnika, urodzonego w Bogutach.* Władze gminy Boguty-Pianki wręczają za zasługi dla regionu medal upamiętniający Wiktora Godlewskiego.

Janusz Fuksa



**Polub nas
na Facebooku!**

Fotografia mówi tylko prawdę

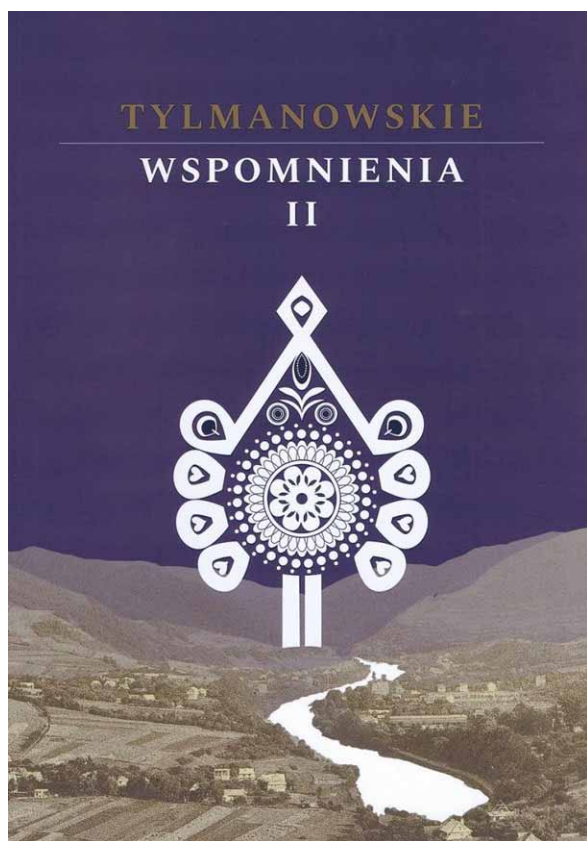
Są dobre skutki prostego pomysłu (poprosić mieszkańców Tylmanowej o przegląd starych szuflad, szaf, albumów) – ukazał się drugi, znacznie bogatszy album fotograficzny „Tylmanowskie wspomnienia II. Ludzie się zmieniają – góry nie”. Jest w nim mnóstwo dokumentów do podziwiania i pobudzania wspomnień z dziejów tylmanowskiej społeczności. Całość ma bardzo bogatą szatę graficzną i liczne teksty wspomagające część ilustrującą dzieje jednej wsi nad Dunajcem.

Fotografie ułożone są według tematów i kilku ważnych w jej historii okresów sprzed i z czasów I wojny światowej, 20-lecia międzywojennego, II wojny światowej, z lat Polski Ludowej, aż do „naszych dni”, czyli dowodów związanych z ostatnimi pokoleniami. Publikacja jest jak lustro – pokazuje przeszłość i czasy współczesne, przez wielu dobrze pamiętane; dla wielu rodzin stanowi dokument upamiętniający ich życie codzienne. Jej zawartość wzbogacają cytaty z literatury światowej. Warto pamiętać, że Tylmanowa ma już 682 lata!

Starania Wiejskiego Ośrodka Kultury w Tylmanowej uwieńczył po raz drugi sukces w formie ważnej i bogatej dla czytelników, jako pamiątka i dowód ciągłości kulturowej i tradycji. Album ukazał się dzięki pozyskaniu pieniędzy na ten cel z programu społecznego „Patriotyzm Jutra” z Muzeum Historii Polski, czyli dzięki finansowaniu takich m.in. wydawnictw lokalnych przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. W ten sposób inicjatywa społeczna przybrała formę czytelnego dokumentu i służyć będzie upowszechnianiu wiedzy o wielowiekowej przeszłości jednej wsi, lecz nie tylko wśród jej mieszkańców.

Niespełna 190 lat temu fotografowanie zaczęło być popularne, a stało się powszechnym sposobem upamiętniania obrazów otaczającej nas rzeczywistości. Było i pozostało ważne. W znacznej części to, co pamiętamy, ma formę obrazu – nasza epoka to czasy obrazów. Wiele faktów pozostało tylko na fotografiach, które są dowodami mijającego czasu i naszych dni osobistych, rodzinnych, wydarzeń już dawno zapomnianych. Pożółkłe, pogięte, naddarte, kartoniki papieru fotograficznego są w każdym przypadku niepowtarzalne. To swoiste dowody osobiste wielu osób, minionych pokoleń tylmanowskich rodzin. To wydarzenia przemijające, ale utrwalone, jak uroczystości kościelne, komunie, śluby, pogrzeby, pielgrzymki, pamiątki służby wojskowej, akcje strażaków, zajęcia, prace wykonywane i sprzęty używane codziennie. Ale zawsze „z naszej wsi”, z kraju, rzadziej – z zagranicy.

Naszą wieś przedziela od niepamiętnych czasów nurt Dunajca. Leży na historycznym szlaku zwanym też Królewskim Gościńcem, wiodącym z Krakowa na Węgry i południe Europy. Najwcześniejsze są informacje z 11 października 1336 roku. Istnienie sołectwa tylmanowskiego potwierdził w 1581 r. król Zygmunt August. Opisał je też w swej kronice z lat 1455–1480 Jan Długosz, gdzie wspomniał kościół parafialny pw. św. Mikołaja. Wypada podkreślić, że pierwsze dokumenty fotograficzne utrwaliły Tylmanową i jej mieszkańców w sytuacjach odświętnych i codziennych. Krajobraz naturalny wsi i ten stworzony przez wiele pokoleń



mieszkańców, zostały utrwalone techniką fotograficzną już pod koniec XIX i na początku XX stulecia. Zbiórka starych dokumentów przyniosła ponad tysiąc trzysta fotografii z niedawnych czasów, sprzed półwiecza i sprzed niemal stulecia. To dzieła anonimowe, wykonane przez amatorów i zawodowców, ale każde osobno i wszystkie razem – bezcenne, bo jedyne w swoim rodzaju, związane z tym samym miejscem – naszą Tylmanową.

Tylmanowa chlubi się małżeństwem nauczycieli Weroniki i Józefa Tischnerów, którzy w latach 1927–1931 pracowali w małej szkole nad brzegiem Dunajca (dziś mieści się tam Wiejski Dom Kultury); ich synem Józiem, który został kaznodzieją, filozofem, kapelanem Związku Podhalan, pisarzem; spotkaniem z kardynałem, a potem papieżem Janem Pawłem II. Wypada więc wspomnieć, że w przedmowie do wydanej w 2000 r. monografii Tylmanowej napisanej przez nauczyciela Franciszka, „tylmanowski rodak” ks. Józef Tischner napisał: *W metryce urodzin napisano: „urodził się w Starym Sączu”. Rzeczywiście tak było. Ale właściwie powinienem urodzić się w Tylmanowej, gdzie mieszkali rodzice[...]. Tylmanowa stała się częścią mojej „małej Ojczyzny”[...]. w Tylmanowej po raz pierwszy zobaczyłem Dunajec [...].*

We wstępie do drugiego tomu „Tylmanowskich wspomnień” czytamy: *Niniejszy album wpisuje się zatem w misję budowania i pielęgnowania tradycji, jest odbiciem przeszłości, kontynuatorem kultury i pamiątką dla kolejnych pokoleń mieszkańców Tylmanowej.* Świadczy o tym 308 (w pierwszym tomie było 275) starych fotografii ułożonych w 14 rozdziałach ukazujących codzienność wsi przed wielu laty i całkiem niedawno. Zarazem jest to dowód zbiorowej i indywidualnej, rodzinnej pamięci, kronika wiejskiej codzienności i ważniejszych wydarzeń. Wydawnictwo uświetnia tę starą miejscowość nad Dunajcem, na stokach lewobrzeżnego gorczańskiego Lubania i prawobrzeżnej sądeckiej Prehyby.

We wspomnianej przedmowie do monografii wsi z 2000 roku ks. Tischner napisał: *[...] Każdy człowiek powinien wiedzieć skąd wyszedł i dokąd idzie [...]. Ta książka nie pozwala zapomnieć dzieciom o rodzicach, o dziadkach i pradziadkach [...].* Zapewne użyłby takich samych słów, gdyby poznał obydwa albumy fotograficzne. Wydanie tych dokumentów sprawia, że Tylmanowa dołącza do coraz liczniejszych polskich wsi i miasteczek z wielu regionów naszego kraju, które w podobny sposób utrwalają swoją przeszłość – zachęcają do gromadzenia pamiątek, poszukiwania korzeni i utrwalania tożsamości; publikują wyniki badań, organizują konkursy wiedzy o swojej przeszłości i tworzących ją ludziach. To w istocie prace krajoznawcze. Kraina i miejscowości leżące nad Dunajcem należą do tych, które utrwalają swoje dokumenty z przeszłości, chronią ją przed „zarastaniem kurzem”, niepamięcią, lekceważeniem tego, co doprowadziło do dnia dzisiejszego. Warto pochwalić współczesnych, którzy dążą do zachowania w pamięci swoich poprzedników, tego jak żyli i kim byli.

Tomasz Kowalik

„Tylmanowskie wspomnienia II. Ludzie się zmieniają – góry nie”; zdjęcia pochodzą z prywatnych zbiorów mieszkańców Tylmanowej, Celiny Imielińskiej, Elżbiety Młyńskiej, Anny Salmonowicz-Olszewskiej; projekt dofinansowany ze środków Muzeum Historii Polski w ramach programu „Patriotyzm Jutra”; proj. graficzny i skład EpicUP.pl, druk i oprawa ZAZA – Agencja Reklamowa.

NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.

Magazyn odznaczony „Złotą Honorową Odznaką PTTK” w 2002 r. oraz Odznaką Honorową „Za Zasługi dla Turystyki”

przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Piotr Dacko**
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**
Korekta i redakcja tekstów: **Dorota Dembkowska**
Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: Juliusz Wyslouch, Krzysztof Tęcza,
Tomasz Kowalik, Ryszard M. Remiszewski, Janusz Fuksa,
Bartosz Skowroński, Zbigniew Piepiora, Krzysztof Pik,
Jacek Mielcarek



ISSN 1230-9931

Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca
i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji tekstów,
przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu
i reklam wewnątrz numerów
na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.